NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 25 (dom własny). Telefon Nr. 472.

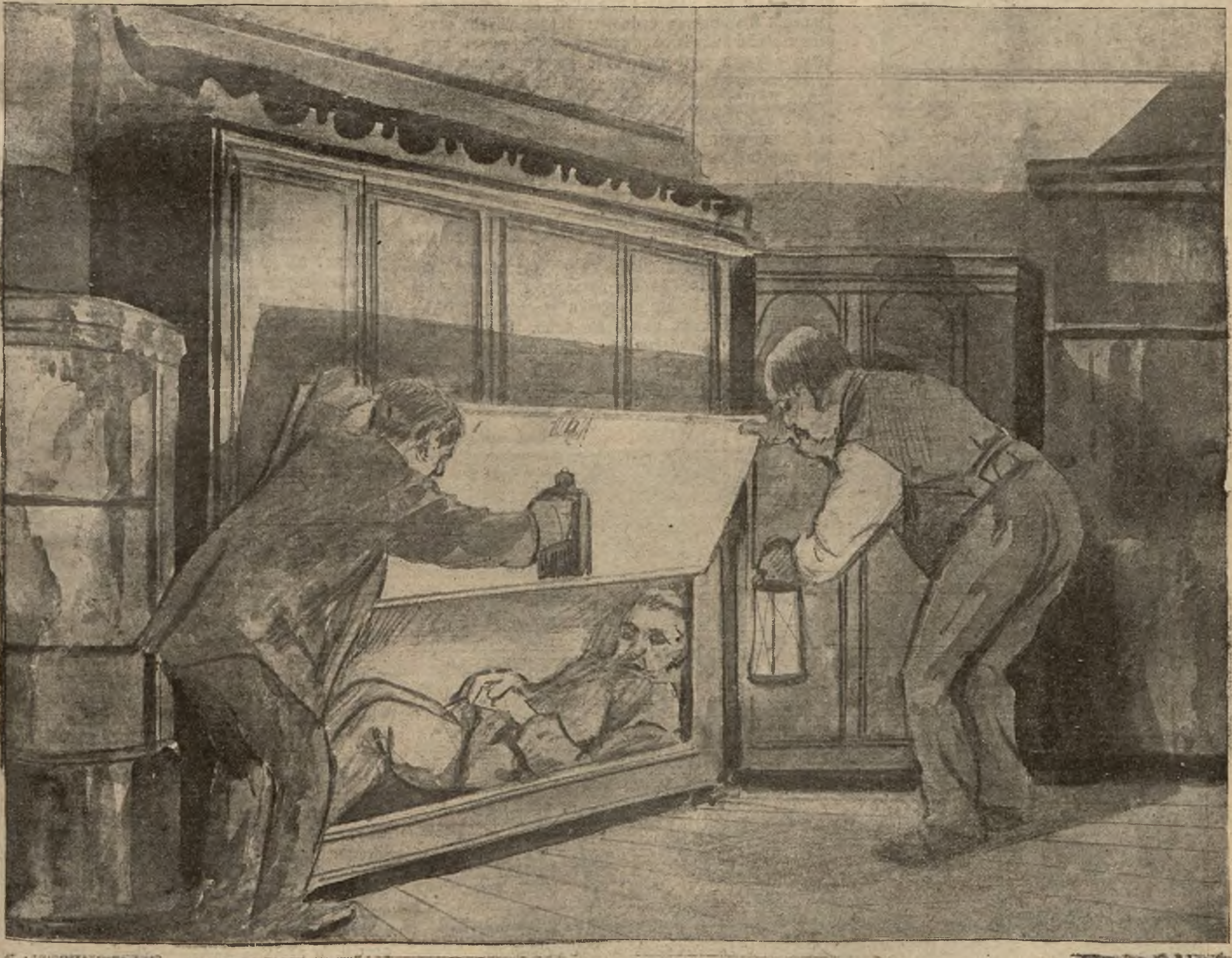
Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 22 kwietnia 1922. Nr. 16.

Skutki katastrofy mieszkaniowej



Stróże nocni w słynnym magazynie Wertheima w Berlinie znajdują w dziale mebli antycznych Eryka Koszynskiego, który z braku mieszkania obrał sobie tyrolską szafę za miejsce noclegowe.

Nasza nowa powieść.

Zwracamy uwagę Czytelników na rozpoczętą w numerze bieżącym powieść Kazimierza Kalinowskiego **„Z oparów krwi“.** Treść jej wstrząsająca do głębi, bohaterzy bowiem przechodzą za życia zaiste przez piekło mąk. A na te zgrozą przejmujące obrazy co chwila pada przedziwne światło z zaświata. Raz za razem uchyla się zasłona kryjąca dla oczu ludzkich życie zagrobowe. Cały świat ducha z zagadkowymi dla nauki objawami okultyzmu, który wszystkich tak dziś zaciekawia, przenika w sposób niezwykły karty tej realnej zresztą powieści. Ale nietylko to w niej nowe. Co osobliwsze, że powstała w stanie podświadomości, ponieważ dyktował ją autor w śnie magnetycznym (o czem szczegółowo mówił w poprzednim numerze artykuł prof. H. F.), czyli stworzył powieść w takim stanie, w jakim jedynie może duch ludzki wnikać w głębie tajników świata niewidzialnego.



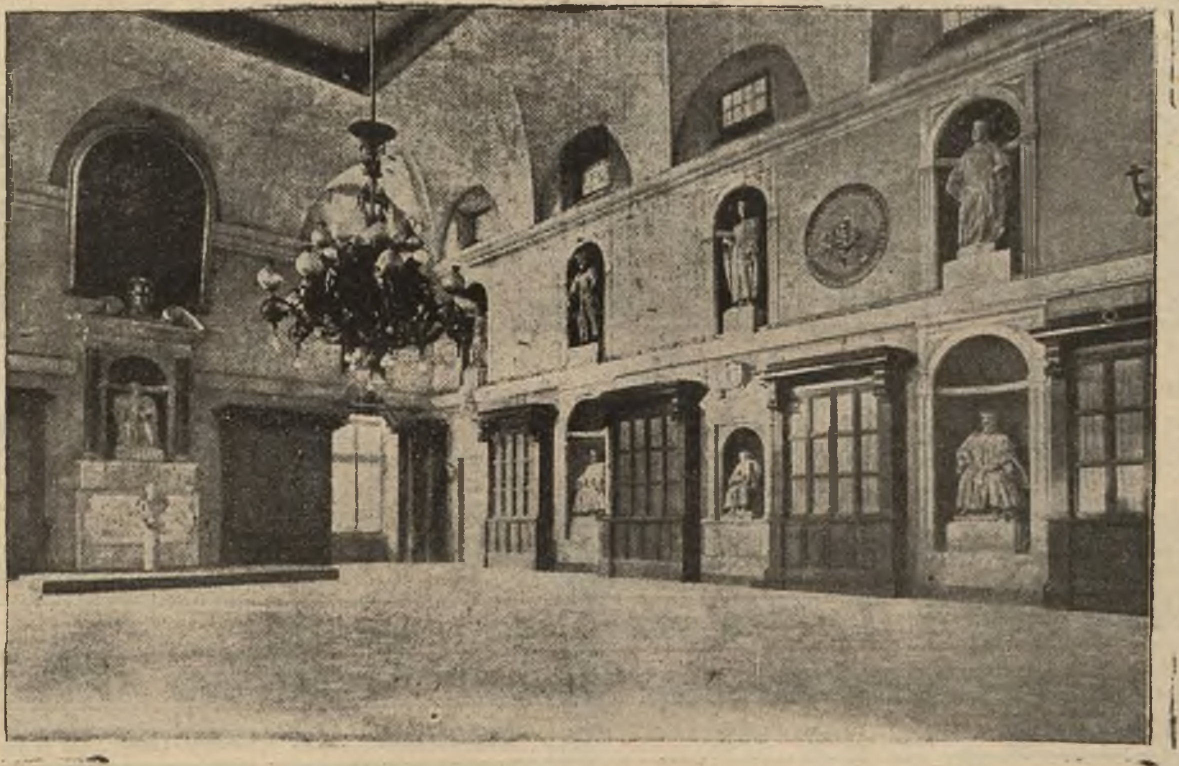
Konferencya genueńska. Wejście główne do pałacu królewskiego San Georgio w Genui.

Skutki katastrofy mieszkaniowej.

(Do illustracyi tytułowej).

Brak mieszkań, który tak dotkliwie daje się odczuwać u nas, dokucza niemniej i większym miastom zagranicy, gdzie za kawałek dachu nad głową płacić się musi, podobnie jak i u nas, niesłychane ceny, a i tak trudno go znaleźć. Ostatnia wojna światowa wyludniła wprawdzie Europę, lecz do większych środowisk napędziła całe gromady, mieszkające niegdyś na prowincyi, które przybyły tam celem szukania łatwiejszego zarobku. Powojenne stosunki, które jednych skazały na krańcową nędzę, innych porobiły milionerami. A że pieniądz lekko nabyty lekko też się wydaje, nowi milionerzy nie liczą się bynajmniej z groszem, sypią go hojnie na wszystkie strony, byle sobie zapewnić wygodny i spokojny byt i w tem właśnie leży jeden z powodów wzmagającej się coraz bardziej drożyzny najniezbędniejszych artykułów do życia, a tem samem i mieszkań. Milionerowi wojennemu nie sprawia żadnej trudności, choćby przyszło zapłacić kilkadziesiąt tysięcy za odstąpienie zwykłego pokoiku, gdy natomiast zwykły śmiertelnik, żyjący ze stałych, a nie rosnących bynajmniej w stosunku do drożyzny dochodów, na coś podobnego pozwolić sobie nie może. Do zwiększenia kłopotów mieszkaniowych w miastach przyczynia się też prawie zupełny zastój w ruchu budowlanym. Niejeden przystąpiłby niezawodnie do budowy domów mieszkalnych, mając na to i odpowiedni kapitał i wiedząc, jakie to zyski przynosi, wykonanie zamiaru odkłada jednak na później, gdy ceny się uregulują.

A nędza mieszkaniowa rośnie tymczasem, doprowadzając jednostki do rozpaczy i zmuszając je do szukania dla siebie przytułku w sposób, o jakim się ludziom dawniej nawet nie śniło. Czytamy oto w *Dzienniku Berlińskim*, że niedawno stróż nocny w słynnych magazynach Wertheima, usłyszał, przechodząc przez oddział meblowy antyków, jakieś dziwne stękanie. Nie mógł jednak absolutnie dociec, skąd ono pochodzi. Przywołał więc sobie do pomocy drugiego stróża, z którym zaczęli przeszukiwać wszystkie meble. Kiedy wreszcie otworzyli wielką szafę tyrolską, ujrzeli ku swemu największemu zdumieniu śpiącego i chrapiącego mężczyznę. Był nim młody kupiec, Eryk Koszyński, który nie mając mieszkania, upatrzył sobie szafę tyrolską za legowisko. Mieszkał on dotąd przy swej rodzinie, która przeniosła się z Berlina, Koszyński zaś został na bruku. Nie mając innego wyjścia, ulokował się w szafie u Wertheima. Sprawą tą zajęła się policya, aby zbadać, czy fakty, podane przez Koszyńskiego zgadzają się z prawdą.



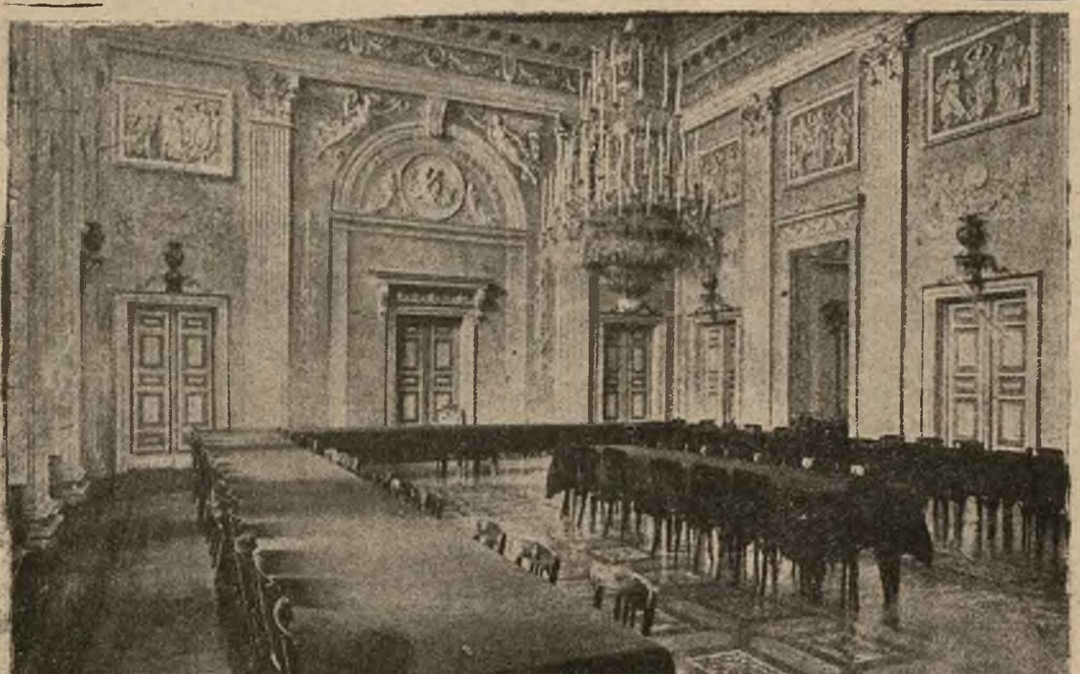
Konferencya genueńska Wielka sala pałacu królewskiego, w której odbywają się uroczyste posiedzenia.

Konferencya genueńska.

Po całym szeregu przedwstępnych narad w Paryżu, Londynie, Cannes, Boulogne, Belgradzie, Bukareszcie, Warszawie i Rydze rozpoczęła swe debaty w dniu 10 kwietnia b. r. międzynarodowa konferencya w Genui, mająca się zająć przedewszystkiem sprawą odbudowy Europy, zniszczonej przez wojnę światową. Pod niebieskiem niebem Włoch zebrali się przedstawiciele wszystkich interesowanych państw i narodów, aby, jak głoszą zapowiedzi najpoważniejszych ich przedstawicieli, położyć trwałe podwaliny, na których miałby się oprzeć trwały pokój światowy. Protektorat nad zjazdem obecnym, przypominającym bardzo słynną wieżę Babel, objęła *de nomine* Koalicya, w rzeczywistości zaś Anglia, w osobie swego premiera, Lloyd'a George'a, który dziś w Genui jest najważniejszą osobistością, skupiającą na sobie uwagę całego świata, interwiewowaną i fotografowaną na wszystkie strony. Występują tutaj po raz pierwszy oficyalnie przedstawiciele sowieckiej Rosyi, dotąd nie uznanej, są także i delegaci Niemiec i te dwie grupy właśnie, bardzo do siebie zbliżone, budzą największe zaciekawienie, im bowiem przyjdzie odegrać na zjeździe genueńskim bardzo ważną rolę, a kto wie, czy nie przyczynić się do jego rozbicia i unicestwienia nadziei, pokładanych w jego uchwałach.

Na przyjęcie gości przystroiła się Genua odświętnie kosztem wielu milionów lirów, które oczywiście zapłacą kraje, potrzebujące odbudowy, ruch w mieście niebywały, nastrój bardzo poważny, a Genueńczycy spoglądają dumnie na przybyszów ze wszystkich stron, zadowoleni z tego, że w ich murach ważą się losy świata, a nazwisko ojczystego miasta Kolumba, pokryte pleśnią wieków, nabrało znowu, bodaj na krótki czas, dawnego blasku i świetności.

Zjeżdżających gości rozlokowano tak, jak są rozlokowani w Europie. Bolszewików odsunięto od ośrodka konferencyi i ulokowano w odległości 25 kilometrów od Genui w Rapallo, dodając im do towarzystwa Polskę, Czechosłowacyę, Jugosławię, Rumunię i Grecyę. Obok nich ulokowano w Santa Margherita kraje bałtyckie, Węgry i Austryę. Tuż opodal, w uroczem Nerwi, mieszkają Niemcy, mając przy sobie sprzymierzeńca bułgarskiego, a prócz tego Albanię i nieśmiertelną Portugalię. W samej Genui zasiada aeropag wielkich wraz ze Szwajcaryą, która ma zapewne być symbolem ich neutralności



Konferencya genueńska: Sala balowa pałacu królewskiego w Genui, przeznaczona na stałe posiedzenia konferencyi.

iobjektywności przy roztrząsaniu wielkich zagadnień. A z drugiej strony Genui, zdala od całego zgiełku, zatopiona w marzeniach o skalistych fjordach Skandynawia i wspominająca w spokoju swą minioną wielkość Hiszpania.

Chodziło także o zapewnienie zupełnej wygody i komfortu, przedewszystkiem dziennikarzom, którzy w liczbie 250 przybyli do Genui. Zarząd miasta wynajął dla nich na Via Gavoti duży dom, gdzie znajdują miłe pomieszczenie. Specyalny autobus będzie ich przewoził z tego hotelu do pałacu Patrone. Pałac ten jest zarezerwowany do wyłącznego użytku prasy. Zawiera on salę redakcyjną, cztery sale na zebrania, czytelnię, fotograficzne atelier, gabinety z toaletą, bar i t. d. Naturalnie nie brak tam biura pocztowego, a do telefonicznych rozmów urządzono 35 kabin, z których można rozmawiać wprost z Berlinem, Londynem, Paryżem i Brukselą. Palazzo Patrone zawiera wspaniałe freski Piaselli i jest ozdobione kosztownymi dywanami i gobelinami w niezmiernie bogaty sposób. Około 300 metrów od Palazzo Patrone wznosi się Palazzo Reale San Giorgio przy via Balbi, jednej z największych i najstarszych ulic miasta. W tym pałacu odbywa się konferencya genueńska, w olbrzymiej sali lustrzanej, do której prowadzi wspaniała galerya. Po prawej stronie tej galeryi znajduje się pyszna czytelnia z gobelinami z 15 wieku i wenecyańskiemi lustrami. Sala konferencyi wychodzi na szeroki taras, z którego rozpościera się wspaniały widok na Genuę i morze. Dawna królewska jadalnia została zamieniona na pyszny bufet. Cudowna sala tronowa, wybita starym genueńskim aksamitem służy jako sala posiedzeń dla komisyi, zarówno jak królewski gabinet, w którym można podziwiać prawdziwego van Dycka i Rubensa. Wspaniałe, marmurowe schody Palazzo San Giorgio wiodą do wielkiej kolumnowej sali, gdzie się odbyła uroczystość otwarcia konferencyi i posiedzenia plenarne. W czerwonych niszach siedzą w kamieniu wykuci wielcy przywódcy genueńskiego ludu, którzy spoglądają ze zdumieniem na ten olbrzymi stół, zbudowany w formie podkowy, który ma służyć dla członków konferencyi. Obok wznosi się dwu piętrowe rusztowanie dla lóż, w których zasiadają goście i przedstawiciele prasy.



Konferencya genueńska: Prowizoryczny dworzec kolejowy przy ulicy Karola Alberta w Genui, urządzony dla rosyjskiej delegacyi i pilnie strzeżony.

Historya przemawia tu ze ścian. Oto tu krótka maksyma Macchiavellego, mówiąca o tem, jak silny naród uwolnił się od tyrana, tam znów list Kolumba do senatorów San Giorgio, gdy po raz drugi ruszał w podróż „do Indyj", przekonany o wspaniałych odkryciach swych podróży. Tu króluje przewódca ludu Francesco Vivaldo, a naprzeciw siedzenia prezydenta genueńskiej konferencyi znajdzie się tak wiele mówiący napis: *„Urbi ordo deficit, nulla virtus sufficit"*.

Tu u stóp tych olbrzymów historyi, tworzyć się będzie żywa, współczesna historya.

Pamięci przyjaciela Polski.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zmarł w Paryżu w 71 roku życia wybitny uczony, polityk i filantrop francuski Denys Cochin, członek Akademii. Nas, Polaków, zgon jego dotyczy o tyle, że był on zawsze szczerym przyjacielem naszego narodu i nie szczędził nam na każdym kroku dowodów swej sympatyi i życzliwości.

Nazywano go pierwszym świeckim katolikiem Francyi, wysoko bowiem dzierżył sztandar wiary, któremu pozostał wierny niewzruszenie do ostatniego tchnienia. Gdy parlament francuski uchwalił rozdział Kościoła i państwa i zerwał stosunki dyplomatyczne z Watykanem, wskutek czego sędziwy arcybiskup paryski, kardynał Richard, opuścił siedzibę swą przy Rue de Grenell, Denys Cochin oddał mu do rozporządzenia pałac swój przy Rue de Babylone i gwałtownie wystąpił przeciwko rządowi. Niemniej jednak kochał ojczyznę swą, Francyę. Już jako dziewiętnastoletni młodzieniec odbył kampanię 1870 r. pod jenerałem Bourbakim i zasłużył sobie na medal wojskowy, a gdy wybuchła w roku 1914 wielka wojna światowa, on długoletni członek skrajnej prawicy w parlamencie francuskim, jako poseł z dzielnicy paryskiej *des Invalides*, porzuca stanowisko opozycyjne i oddaje się na usługi rządowi, przyjmuje w gabinecie „Union sacree" stanowisko ministra bez teki, jedzie w misyi dyplomatycznej do Grecyi. W wojnie tej utracił dwóch synów i zięcia. Przygnębiło go to mocno, to też w 1919 r. porzucił szranki polityczne.

Pozostawił kilka dzieł wybitnych, jak: *L'Evolution et la Vie*, *L'Esprit Nouveau*, *Le Monde Exterieur*, które w 1911 r. otworzyły przed nim podwoje Akademii francuskiej. Mąż nieskazitelnej prawości, zasłużył sobie na szacunek głęboki wśród najzawziętszych przeciwników politycznych, w Paryżu zaś cieszył się wielką popularnością, jako potomek jednego z najstarszych rodów paryskich. Już w r. 1280 spotykamy się z tem nazwiskiem w rocznikach paryskiego patrycyatu.



Konferencja genueńska: Hotel w Santa Margherita obok Rapallo oddany wyłącznie do dyspozycyi delegacyi Rosyi sowieckiej.

Po zgonie Karola Habsburga.

Zgon ostatniego cesarza Austryi na wygnaniu, dał sposobność prasie europejskiej do rozmaitych uwag na temat losów zmarłego, które po kilku zaledwie latach panowania, zagnały go na wyspę Madeirę, gdzie dokonał życia w młodym wieku i prawie w biedzie.

Po ostatniej nieudałej wyprawie na Węgry internowany na Madeirze, pędził tu od listopada ubiegłego roku żywot nie przypominający niczem poprzednich lat, gdy, jako arcyksiążę, a później cesarz Austryi i król Węgier opływał we wszystko, a tutaj trzeba się było obejść bez rzeczy najniezbędniejszych. Koalicya wyznaczyła rodzinie excesarskiej miejsce jej stałego pobytu, utrzymaniem jej miały się zająć państwa sukcesyjne, powstałe na gruzach byłej habsburskiej monarchii. Na tem tle wyłoniły się poważne trudności, ponieważ zaś prywatny majątek byłego cesarza, obliczany wprawdzie na kilkanaście milionów, znajdują się pod sekwestrem, rodzina wygnańców znalazła się w trudnem położeniu finansowem, trzeba było robić długi, lub liczyć na pomoc obcą, a o tą nie było łatwo, gdyż członkowie rodziny Habsburgów sami znaleźli się w dość kłopotliwej sytuacyi, a rodzina Parma, z której pochodzi cesarzowa Zyta, jest uboga. Kłopoty finansowe wpływały deprymująco na ex cesarza, który starał się z tem kryć wobec swego otoczenia, pocieszając się stale nadzieją, że, skoro Orleanom zwrócono zagrabione przez rewolucyę majątki, nie inaczej postąpi się i z Habsburgami. Doszło do tego, że trzeba była opuścić zajmowaną dotąd w Funchal willę i przenieść się do innej, mniej wygodnej, wydatki ograniczyć do ostateczności. Poza tem nękała excesarza tęsknota za krajem i rodziną, zwłaszcza matką i bratem i niepewność, co przyszłość przyniesie. Do tych cierpień moralnych przyłączyły się i fizyczne, zwłaszcza, że klimat tamtejszy oddziaływał fatalnie na jego zdrowie. Te czynniki złożyły się na przedwczesny zgon byłego cesarza Austryi, którego zwłoki złożono tymczasowo w Funchal, skąd mają być przewiezione ewentualnie do Budapesztu lub Wiednia. Excesarzowa Zyta pozostaje nadal wraz z dziećmi na Madeirze.

O sprzedaż Dojlid.

Pomiędzy niektóremi naszemi stronnictwami politycznemi toczy się zażarta walka, nieraz nie przebierająca w środkach, niestety przeważnie wywołana interesami partyjnymi, nie zaś troską o dobro ogółu Do najzawziętszych przeciwników należą między innymi narodowi demokraci i ludowcy z pod znaku „Piasta", a ich wzajemny antagonizm doprowadza nieraz do przykrych starć, obniżających tylko naszą powagę wobec sąsiadów.

Do ich rzędu zaliczyć należy interpelacyę wniesioną przez Związek Ludowo Narodowy w sprawie sprzedaży majątku Dojlidy polsko-amerykańskiemu Bankowi ludowemu, poza którym, jak ogólnie głoszą, stoją osobistości będące w bardzo ścisłym związku z warszawskim sejmem, a należące właśnie do stronnictwa P. S. L. Wedle przedstawienia sprawy przez prezesa najwyższej Izby kontroli państwa p. Zarnowskiego wynika, że majątek Dojliny, własność obywatelki niemieckiej wedle zarządzenia ministra rolnictwa miał przejść pod administracyę przymusową. Rozporządzenia tego jednak organy właściwe



Pamięci przyjaciela Polski: Członek Akademii francuskiej, Denys Cochin, wybitny uczony, polityk i filantrop, zmarły w Paryżu w ostatnich dniach marca b. r.

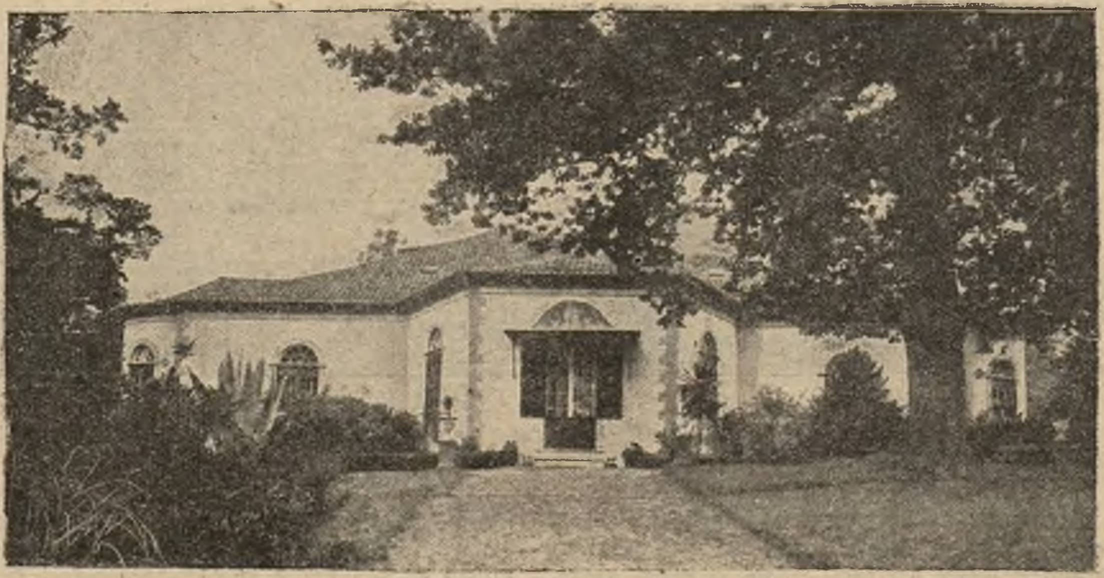
nie wykonały. Sprzedaż majątku Dojlid polsko-amerykańskiemu Bankowi ludowemu, nie wywołała ze strony ministerstwa rolnictwa żadnego protestu. Izba kontrolna nie otrzymała żadnej odpowiedzi na pismo wystosowane do ministerstwa rolnictwa z wezwaniem o wyjaśnienie z jakich powodów zarząd przymusowy nie został wykonany. Dalej ze spra-

wozdania wynika, że w chwili wniesienia podania, o sprzedaż przez rząd do Głównego Urzędu Ziemskiego przedstawiciele Banku nie mieli jeszcze prawa występować oficyalnie w jego imieniu, gdyż Bank nie był się jeszcze ukonstytuował. Z dalszych aktów wynika, że pierwotne zapewnienia Banku o chęci racyonalnej parcelacyi były nieprawdziwe, gdyż Bank żądał od włościan miejscowych cen spekulacyjnych, a tem samem wykluczył ich od parcelacyi. Białostocki urząd ziemski doniósł o wszystkiem do głównego urzędu ziemskiego wnosząc do odebrania bankowi upoważnienia na parcelacyę i przystąpienia do wykupna dóbr na rzecz państwa. Na pismo to jednak urząd białostocki od GUZ odpowiedzi nie otrzymał, wobec czego zgodził się na sprzedaż tych dóbr na rzecz ks. Józefa Lubomirskiego. Na tem tle wywiązała się dyskusya, niejednokrotnie bardzo namiętna, w której zabierali głos przedstawiciele różnych stronnictw, przedewszystkiem referent sprawy, p. Staniszkis, oraz dr. Kiernik, prezes Głównego Urzędu Ziemskiego, który na swoją obronę przytoczył, że sprawę załatwiono pod jego nieobecność w Warszawie i że uważa ją za atak wymierzony przez prawicę na Główny Urząd Ziemski. Podczas przemówienia p. Staniszkisa nastąpił ubolewania godny incydent. Równolegle z wywodami mowcy toczyła się podjazdowa dyskusya pomiędzy bardziej gorącymi członkami poszczególnych klubów sejmowych. Nagle rozległ się głos dr. Putka skierowany w stronę ław stronnictw P. S. L.: „Z kanalią się nie rozprawia!“ — Po tych słowach dr. Putek obrócił się na pięcie, a wówczas poseł Bryl wyskoczył z ław poselskich i dopadłszy dr. Putka uderzył go dwukrotnie w głowę, poczem zwrócił się w stronę swoich ław. Ujrzawszy to poseł Seib (Lewica P. S. L.) podskoczył do p. Bryla i plunął mu w twarz. Zapanował moment przykrego milczenia; potem zakotłowało w Izbie z oburzenia i rozległ się głos i dzwonek marszałka dysponującego cenzurę prezydyalną.

Wobec chaosu, jaki zapanował, marszałek zarządził przerwę, wezwał do siebie przewodniczących klubów i zakomunikował im, że wykluczył posła Bryła z 5 posiedzeń, a posła Putka przywołał do porządku. Scena ta wywołała na Izbie fatalne wrażenie. W kilka minut posiedzenie zostało ponownie otwarte.

Po kilku jeszcze przemówieniach sejm wszystkimi głosami przeciw głosom P. S. L. nie przyjął do wiadomości odpowiedzi prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego dra Kiernika w sprawie sprzedaży majątku Dojlidy, w następstwie czego dr. Kiernik natychmiastowo podał się do dymisyi, którą wniósł na ręce prezydenta gabinetu Ponikowskiego.

Epilogiem sprawy Dojlid było honorowe załatwienie zajścia między posłami Brylem a dr. Putkiem i Seibem, dr. Kiernik zaś wezwał posła referenta Staniszkisa przed poselski sąd honorowy z powodu poczynionych przez tegoż zarzutów, którymi uczuł się dotknięty.



Po zgonie Karola Habsburga: Willa w Funchal w której dokonał życia ex-cesarz Austryi po opuszczeniu pierwotnego mieszkania w willi „Victoria“.

Niesmaczny żart

Już to nie możemy narzekać na to, aby nam brakowało otwartych i skrytych wrogów, którzy starają się wyzyskać każdą sposobność, aby zaszkodzić nam tak materyalnie, jak moralnie. Otwarty wróg jest mniej niebezpieczny, wiedząc bowiem o tem z kim się ma do czynienia, można też postarać się o obronę, trudniejsza sprawa, jeśli zbliża się w masce przyjaciela lub choćby w charakterze neutralnego, trzymając ukryty sztylet i czekając tylko chwili, kiedy można nim ugodzić w pierś nie przeczuwającego losu, jaki mu zgotowali.

Dzień 19. marca b. r., w którym w całej Polsce, a również i we Lwowie, obchodzono uroczyście imieniny Naczelnika Państwa, dał jakiemuś lwowskiemu „dowcipnisiowi“ sposobność do dopuszczenia się prawdziwie sztubackiego żartu, mającego na celu obniżenie powagi chwili. Oto zauważono rano na rogach Placu Halickiego ozdobione choiną tablice, na których przemianowano plac ten na „Plac Józefa Piłsudskiego“. Ponieważ podobna zmiana należy wyłącznie do kompetencyi Rady miejskiej, a ta podobnej uchwały nie powzięła, był to bezsprzecznie niesmaczny wybryk, zrodzony w głowie kogoś, kto chciał nas ośmieszyć i zamącić poważny nastrój, jaki w tym dniu we Lwowie panował. Z której strony wyszedł pomysł, to mniejsza, każdy przyznać musi, że był nie na miejscu, spotkał się też z ogólnem potępieniem.



Niesmaczny żart: Plac Halicki we Lwowie, na którego rogach nieznani sprawcy umieścili w dniu 19 marca b. r. tablice z napisami: „Plac Józefa Piłsudskiego“.

Belgijska para królewska w Rzymie.

W końcu ubiegłego miesiąca przybyła do Rzymu oficyalnie belgijska para królewska w gościnę do królestwa włoskich. Fakt sam nie posiadający na oko głębszego politycznego znaczenia, będący bowiem wyrazem zwykłej kurtuazyi między domami panującymi, w danym wypadku także chęcią nawiązania rodzinnych stosunków, stanowi przecież wyłom w zwyczajach ostatnich lat pięćdziesięciu. Po raz pierwszy od chwili zjednoczenia Włoch i wkroczenia do Rzymu wojsk piemonckich przybył tam w charakterze urzędowym katolicki władca, co prasa włoska, przedewszystkiem stojąca blisko Kwirynału, podkreśla z wielkim naciskiem i to tem większym, że królestwo belgijscy byli równocześnie gośćmi Kwirynału i Watykanu, przyjmowani tu i tam z honorami, przepisanymi dworską etykietą. Po raz pierwszy od lat pięćdziesięciu pojawiły się na ulicach Rzymu pojazdy papieskie, którym towarzyszyli dostojnicy watykańscy w galowych mundurach. Jest to dowód jeden więcej, że polityka pojednawcza, zainicyowana przez zmarłego papieża, Benedykta XV., prowadzoną jest w dalszym ciągu przez jego następcę i że Watykan nie uważa już „wiecznego miasta“ za terytoryum, pozostające *sub occupatione hostili*, lecz za kraj zaprzyjaźniony. Automobile papieskie, które wyruszyły po parę królewską do ambasady belgijskiej przy Watykanie, ozdobione były barwami papieskiemi i belgijskiemi.



Reaktywowanie polskiej prowincyi Braci Miłosierdzia: Pierwszy prowincyał wskrzeszonej polskiej prowincyi. O. Jacek Misiak, dotychczasowy przeor krakowskiego konwentu.

Król Albert i królowa Elżbieta zabawili w Rzymie kilka dni zwiedzając wszystkie osobliwości Rzymu, witani wszędzie bardzo sympatycznie przez ludność, która z wielkiem zadowoleniem przyjęła wiadomość o mającym dojść do skutku związku małżeńskim między belgijskim następcą tronu a jedną z córek włoskiej pary królewskiej. Przyjęcie na specyalnem posłuchaniu przez papieża Piusa XI. miało charakter nadzwyczaj uroczysty przy zastosowaniu pełnego dworskiego ceremoniału, który rozpoczął się, nie jak dawniej miewało miejsce dopiero za bramami Watykanu, lecz już w mieście, w miejscu, z którego para królewska wyruszyła.

RENE BURES.

Zil=X...

21) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Może wiedzieć w każdym razie — rzekł Iggins jakim sposobem listy jej i fotografie oddane jej przez Jerzego Dambleuse dostały się w ręce senatora Poivrier. My o tem nie wiemy. Nie wie o tem policya, która do tej wędrówki listów żadnej dotąd nie przywiązuje wagi — co wielkiem szczęściem jest dla nas.

— Zaklina Dubois oświadczyła, że listy te zostały jej skradzione przez służącą.

— A policya tej służącej nie odnalazła?

— Nie. To było do przewidzenia — zaśmiał się Iggins.

— Ale, czy Zaklina Dubois zechce nas wogóle przyjąć?

— Ona jest dosyć sprytną i przebiegłą. Ale ona musi nas przyjąć i powiedzieć co wie — oświadczył stanowczo Iggins.

Dalton zdawał się zastanawiać nad czemś głęboko. W tej chwili podniósł nagle głowę i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ona nas przyjmie — wyrzekł z pewnością siebie.

— Jakże się to stać może? jak zmusić ją do tego — zapytałem.

— Zaprosimy ją na dzień jutrzejszy na kolacyę — odpowiedział Dalton.

— Doskonale! — przytaknął żywo Iggins.

Obiad „pod Złotym Chrząszczem".

Było to w dwa dni po naradzie jaką mieliśmy z Igginsem. Zaklina Dubois została zaproszoną przez Daltona nie na kolacyę, jak to był jego pierwotnyzamiar — lecz na obiad. Byłem bardzo ciekawy jakich sztuk mój przyjaciel użyje, aby wejść w stosunki z aktorką i skłoni ją do przyjęcia tak kompromitującego zaproszenia.

Wiedziałem, że Zaklina Dubois, prowadząca życie bardzo fantastyczne i niezależne, dzięki hojności jednego z jej zmarłych kochanków, była bardzo wybredną w robieniu nowych znajomości. Po zatem, była już od miesiąca zazdrośnie strzeżona przez pana Rivero-Boldavo. Niewiadomo jednak, czy zazdrość zwrócona była do jej osoby, czy też do jej milionów.

Dalton jednakże zapewnił nas z całą stanowczością, że aktorka przyjmie nas bardzo uprzejmie.

Myślałem właśnie nad tem, oczekując na Daltona w jego gabinecie.

Ubrałem się na wszelki wypadek w smoking. Naprzeciwko mnie siedział stary Dambleuse również w czarnem ubraniu, wyczesany, wyperfumowany, ogolony starannie. Wygląd miał bardzo przyzwoity i dystyngowany. Zamienił olbrzymie stare okulary na inne oprawne w złoto w krawat wpiął perłę wielkości grochu, na nogach zaś miał nowe świecące lakierki.

Przechylony niedbale w fotelu, drzemał spokojnie, mając na twarzy wyraz wielkiej godności i powagi.

Sprowadzenia starego Dambleusze na ten obiad było pomysłem Daltona, który uznałem za doskonały.

Nazajutrz, po naszem wdarciu się do mieszkania kapitana de Limandoux, stary Dambleuse zachorował. Jak nam mówił jego służący, zapadł na silny atak nerwowy połączony z bolami, który go przetrzymał czterdzieści ośm godzin w łóżku. Nie chciał nas jednak do siebie dopuścić i przez służącego kazał powiedzieć, że czuje się jaknajzdrowszym.

Po trzech dniach zjawił się znowu, jeszcze bardziej fantastyczny, wściekły, wyrzucając nam naszą opieszałość i oświadczył nam kategorycznie, że jesteśmy ludźmi nieznającymi swojego fachu i że Jerzy Dambleuse powinien być już dawno na wolności, zważywszy pomoc pieniężną którą on mógł rozporządzać...

Iggins prędko przyprowadził go do porządku, przypominając mu, że Jerzy Dambleuse, będzie napewno skazanym na karę śmierci i że on, Iggins, nie widzi wcale sposobu ratowania go.

Usłyszawszy to stary Dambleuse pogrążył się w ponurem rozmyślaniu i nie wymówił ani słowa więcej.

Daltonowi przyszła w ostatniej chwili myśl zabrania go na obiad, w którym uczestniczyć miała Zaklina Dubois.

— Kto wie — mówił Dalton — może ten stary waryat wie o swoim synu, rzeczy dla nas nieznane. Zaczynam się nad tem coraz głębiej zastanawiać. Obecność jego wpłynie także uspokajająco na Zaklinę. Przedstawimy go jako starego, bogatego bardzo księcia. Jestem przekonany, że będzie doskonale wyglądał w wieczorowem ubraniu i dobrze zagra swoją rolę. Przypomnij sobie, że ten dziwak miał niegdyś bardzo burzliwe życie. Przebywał w różnych najlepszych towarzystwach. Przyda się on nam tam, zobaczysz. W każdym razie jestem przekonanym, że zachowa się zupełnie przyzwoicie. Musiał już teraz chyba zrozumieć, że syn jego będzie straconym jeżeli nie uda się nam teraz wpaść na ostateczny jakiś ślad.

Rezultatem tego monologu Daltona, była długa konferencya, jaką miał ze starym Dambleuse. Dalton poinformował go o sytuacyi i o tem jak się ma zachować w obecności aktorki i wyraził nadzieję, że jeżeli rozmowa z Zakliną Dubois zostanie dyplomatycznie przeprowadzoną, odnieść ona może nieoczekiwane skutki.

Stary uczony zgodził się na wszystko.

— Bądźcie panowie spokojni — wyrzekł z wielką godnością. Pogardzam życiem i ludźmi i wami również dostatecznie, aby się nie bawić w próżne grzeczności — potrafię jednak odegrać rolę dobrze wychowanego człowieka w razie potrzeby. Jestem doskonałym psychologiem i dyplomatą. Byłem w swoim czasie sekretarzem pewnej ambasady, której niejedną oddałem usługę. Dowiem się od młodej kobiety, o czem tylko będę chciał...

— Doskonale — zaśmiał się z zadowoleniem Dalton. Musi pan przybrać jakieś nazwisko. Niech pan wybiera.

— Będę księciem Teodorem. To wystarczy.

— Oczywiście. To egzotyczne, oryginalne, wzbudzające zaufanie.

— Tak — potwierdził stary.

— Ty. Valtorbe będziesz Amerykaninem. Nazywać się będziesz Don Antonio Morguez. Jakże ci się to podoba?

— Bardzo.

— A ja Wiliam Beuil — Anglik. Reszta ułoży się samo. Muszę się tylko stosownie ucharakteryzować. Te dyabelskie dzienniki zrobiły mi ten zaszczyt, że poumieszczały prawie wszędzie moją fotografię przy artykułach, omawiających sprawę naszą. Zaklina Dubois, która zapewnie czyta je teraz z gorącą ciekawością, łatwo mnie teraz poznać może. Co do was moi panowie, jest to rzeczą niepotrzebną.

— Czy zaproszenie już przyjętem zostało? — zapytałem wówczas.

— Tak. Zejdziemy się jutro o godzinie piątej. Spokoju tylko moi kochani i dobrej myśli, a wszystko pójdzie dobrze.

Była więc właśnie teraz godzina piąta i wraz ze starym Dambleuse oczekiwaliśmy na Daltona.

Dambleuse drzemał, a ja czytałem ostatni numer „Burzy". Właściwie odczytywałem go po raz drugi z wielkiem upodobaniem, bo zainteresował mnie szczególnie artykuł, noszący tytuł „Trzy zbrodnie". Artykuł, tak zatytułowany, pojawiał się od pewnego czasu codziennie i zajmował pół szpalty. Później doszedł w rozmiarach do całej strony, w ostatnim zaś numerze znowu zmniejszył się do jednej całej szpalty. Odczytywałem właśnie ten artykuł, kiedy ktoś otworzył drzwi i wszedł do gabinetu.

Rzuciłem się naprzód z okrzykiem zdumienia. Pomimo jednak doskonałego ucharakteryzowania poznałem w wchodzącym Daltona.

Panna Zaklina Dubois, choć bardzo przebiegła i sprytna, nie będzie w stanie w tym poważnym jegomościu z Argentyny rozpoznać miłą, szczerą i wesołą twarz mojego przyjaciela.

— Zadziwiające! Zadziwiające — kochany Beuil — raczył okazać swoje zadowolenie stary Dambleuse z głębi swojego fotela, kiwając protekcyonalnie ręką w stronę przybyłego.

— Podobam się wam!

— Nadzwyczajnie!

— A więc w drogę!

— Jakto?

— Właściwie, to ja pójdę osobno, a wy osobno... Posłuchajcie mnie tylko uważnie. Streszczać się muszę, bo zapóźniłem się już dosyć.

— Słuchamy!

— Jemy dziś obiad o godzinie ósmej w kabarecie pod „Złotym Chrząszczem!" na ulicy Sentiev. Jesteśmy zaproszeni przez mojego przyjaciela Roberta Dartigues, którego znam od lat piętnastu.

— Czy jest on już powiadomiony?

— Wtajemniczyłem go w to, co było koniecznem. Słowem honoru zadokumentował swoją dyskrecyę i milczenie. Jestem jego pewnym.

— Dobrze.

— Zgodził się dopomódz nam i zagrać rolę wspólnika naszego. Propozycyę tę, przyznaję, przyjął trochę niechętnie, ale nie mógł mi odmówić. Postawił jednak warunek.

— Jaki?

— Warunek taki, że jeżeli w ciągu tego wieczora dowiemy się coś poważnego, tyczącego się naszej sprawy, nie zużyjemy tej wiadomości w celu oskarżenia kogoś, lecz tylko w celu uniewinnienia Jerzego Dambleuse. Jeżeli więc te wiadomości naprowadzą nas na ślad prawdziwego mordercy — nie zużytkujemy ich — rozumiecie?

— Rozumiemy!

— Robert nie chce się zabawić w agenta śledczego, nie chce, aby nazwisko jego wymówionem kiedykolwiek zostało w tej sprawie.

— Dobrze!

— Może pan na to przysiądz, panie Dambleuse?

— Przysięgam.

— Doskonale. Mam więc pana słowo honoru, proszę o tem nie zapominać.

— Nie zapomnę.

— Słuchajcie dalej. Robert Dartigues zaprasza swojego starego przyjaciela Wiliama Beuil do kabaretu. Nie widział go pięć lat. Wiliam Beuil podróżował bowiem ze swoimi przyjaciółmi — z księciem Teodorem i z don Antoniem Morguez. Podróż dla przyjemności, o której wiele mówić się nie będzie. Będziemy zato mówili o miłości, Paryżu, ogólnych aktualnych sprawach.

— A Zaklina Dubois?

— Robert przyprowadzi swoją kochankę.

— Oh!

— Tak. Ta jego kochanka Monna Ramboche jest przyjaciółką Zakliny Dubois.

— Doskonale się wszystko składa!

— Wspaniale. Zaklina obiecała przyjść razem ze swoją przyjaciółką.

— Czy to jednak pewne? — zaniepokoił się stary Dambleuse.

— Pewne.

— To aktorka, może odmówić w ostatniej chwili, przez fantazyę.

— To wykluczone. Monna jest już przy niej i nie dopuści do tego. Zresztą zdaje się, że jest bardzo zadowolona z możności poznania księcia Teodora. Robert potrafił je dostatecznie zaciekawić, a ona, jak wszystkie kobiety, jest dyabelnie ciekawa.

— Ta Monna nic nie wie o niczem? — zapytał stary Dambleuse.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Dalton. — Inaczej jutro cały Paryż byłby o wszystkiem powiadomiony. Czyście wszystko dobrze zrozumieli?

— Tak.

— A więc do widzenia za chwilę. Zjawcie się razem, z małem opóźnieniem. I sprawcie się, proszę, dobrze, panie Dambleuse.

— Postaram się — odparł z pewnością stary uczony.

— Czekaj — jeszcze słówko!

— Mów prędko.

— Czy ten Rivero Boldavo zgodził się na ten obiad w kabarecie?

— Nie zgodził się, ale mu przeszkodzić nie może.

— Dlaczego?

— Został zaaresztowanym wczoraj wieczór.

Podskoczyłem na fotelu.

— Aresztowany? Za co?

— Oszustwo w grze. Aresztowany w klubie. Miał pełne kieszenie podrobionych kart. Okropny skandal. Zaklina Dubois jest wściekła i skompromitowana w kółku, gdzie się obracała. Należy wykorzystać jej wściekłość i zdenerwowanie.

— Więc został zaaresztowany wczoraj jeszcze?

— Tak.

— Mój Boże — wyrzekłem, przejęty tą wiadomością — czy nie możnaby znaleźć poszlaki jakiej z tej strony?

— Jakto?

— Miejsce Jerzego Dambleuse zaraz po jego oskarżeniu zajął ten cudzoziemiec. Czy zajął on to miejsce na świeżo, czy też był w niem już dawniej ukryty w cieniu? To ciekawe. Przypomnijcie sobie, że w tym samym czasie została odkryta pierwsza zbrodnia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

13)

Przez siedem dni i siedem nocy ucztowali tak i biesiadowali ciągle, dopuszczając się wszelkiego rodzaju nadużyć, a nareszcie siódmej nocy straszliwa kłótnia wybuchła pomiędzy nimi.

Krew popłynęła i nie przestała już płynąć. Żaden pomiędzy nimi nie sądził się bezpiecznym. W takiej to chwili po jednej z tych walk straszliwych, uczułem raz, że mnie ktoś lekko uderza po ramieniu. Oglądam się, patrzę i ujrzałem po za sobą twarz Irlandczyka Prestona, kochanka Karoliny Prior, której historyę już wam opowiedziałem. Preston był zmuszonym przed chwilą bronić nie tylko honoru, ale i życia swojej kochanki, którą trzech majtków usiłowało mu wydrzeć. Zabił jednego wprawdzie sztyletem, ale Karolina winna tylko była swoje ocalenie rywalizacyi dwóch drugich, co się nie mogli zgodzić pomiędzy sobą, któren pierwszy posiadać ją będzie.

— Mam pomówić z tobą — rzekł mi Preston do ucha.

— Ze mną?

— Tak jest, majstrze Gandolf, bądź dziś o jedynastej godzinie wieczorem w salce z gankiem, mam ci uczynić jedno zwierzenie.

— Będę — odpowiedziałem.

Wieczorem nie omieszkałem znaleźć się na oznaczonem miejscu.

— To ty majstrze Gandolf? — zapytał mnie po cichu.

— Tak to ja, mów, czegoś chciał odemnie?

— Jesteś Francuzem, a ja Irlandczykiem. Zresztą ci ludzie nie są już Anglikami — mówił dalej to już nie ludzie, to bydlęta.

— Ostrożnie, o kim mówisz?

— O stu pięćdziesięciu czy dwustu zbrodniarzach — odpowiedział mi — którzy się stali panami Niagary i którzy niedługo, jak im zabraknie jedzenia, co przy rodzaju życia, jakie prowadzą, wkrótce nastąpić powinno, nas samych zjeść gotowi.

— Teraz rozumiem cię doskonale, chcesz ich w tym względzie uprzedzić, to zamiar roztropny, ale bardzo trudny do wykonania, nie łatwi oni do strawienia. Nas jest tylko dwóch, a ich przeszło dwustu.

— Ja nie chcę ich zjeść, majstrze Gandolf, ale nie chcę także być zjedzonym przez nich, jeżeli podobna tego uniknąć, czy rozumiesz mnie teraz?

— Nie, bo jeżeli masz zamiar uciekać, to pozwolisz, że zadam ci pytanie, jakim sposobem będziesz chciał to uskutecznić?

— Na Niagarze dziś o zachodzie słońca widziałem ląd przed nami, ląd leży w tamtej stronie, jak widzisz tę gromadkę gwiazd, musimy być od niego jeszcze o jakie dwadzieścia mil oddaleni, to zdaje się wyspa, pewno Madagaskar.

— Madagaskar! a któż ci to powiedział?

— Carter, który w swojem więzieniu ciągle robi marynarskie wyrachowania.

— Ale Carter — rzekłem, otwierając wielkie oczy — nie mógł sterować okrętem.

— Właśnie się mylisz, bo to on nim sterował.

Otworzyłem jeszcze lepiej uszy, niż oczy przed chwilą, lękałem się bowiem, żeby kto nas nie zdybał rozmawiających z sobą.

— Więc utrzymujesz, że on sterował okrętem?

— Tak, sternik bowiem jest jemu duszą i ciałem oddany.

— Więc to jest spisek?

— Tak, spisek, do którego czterech tylko wchodzi spiskowych, ja, ty, Carter i sternik, który nie może być podejrzanym przez tych rabusiów, uczestniczył bowiem we wszystkich tych okropnościach, których się dopuścili.

— Słucham dalej, jakiż więc twój zamiar?

— Punkt wyspy, od którego za nadejściem dnia będziemy już tylko na sześć mil oddaleni, to Louquez, najpiękniejszy port Madagaskaru; ale trzeba się obawiać, żeby, kiedy ci zbrodniarze będą widzieli ląd już tak bliski, nie rozwinęli wszystkich żagli, żeby się od niego oddalić. W takim razie nasz zamiar...

— To opuśćmy okręt zaraz, wiatr wieje w stronę lądu...

— Zaraz niepodobieństwo — rzekł Preston — ja z sobą zabieram kobietę, młodą kobietę, a dwadzieścia mil, to nie żarty!...

— A, zapomniałem... prawda.

— Starajmy się — mówił dalej Preston — o ile możności skrócić tę odległość, im mniej zostanie nam do przepłynienia, uciekłszy z okrętu, tem większą będziemy mieli ocalenia pewność. A zresztą potrzeba jeszcze zrobić niektóre konieczne przygotowania.

— Tak, trzeba najprzód uwolnić Cartera.

— Carter pozostanie tutaj, a sternik także nie opuści okrętu, ty tylko, ja i Karolina Prior będziemy się starali uciec. Przybywszy do Louquez, udamy się do stacyi angielskiej, będącej tam zawsze w wejściu do portu, zrobimy naszą deklaracyę i wyprawią jaki okręt w pogoń za Niagarą.

— To trudne do uskutecznienia.

— Czyż wolisz lepiej umierać, bo ręczę ci, że tutaj zginiesz.

— Wiem o tem, ale pozwól mi zrobić dwie uwagi.

— Rób je prędzej — odrzekł Preston — trzeba bowiem o tem, co tu uradzimy, uprzedzić sternika, który będzie się starał podług tego okręt nakierować.

— Oto pierwsza moja uwaga: Carter jest twoim nieprzyjacielem, skądże to przekonanie, że w tym razie będzie z tobą zgodnie działał?

Carter nie jest już moim nieprzyjacielem; to jest szlachetne serce, które się tylko przez chwilę obłąkało; zwyciężyłem go, a on uznał się za zwyciężonego podług wszelkich praw wojennych. A zresztą Carter pragnie się zemścić nad Ascottem, który objąwszy dowództwo nad zbuntowanymi, nie chciał mu powrócić wolności, z bojaźni zapewne, aby nie był przymuszonym podzielić się z nim władzą. A teraz jaka twoja druga uwaga?

— Oto druga: ty miałeś uczestnictwo w buncie, kara więc, która będzie wymierzoną na innych i ciebie dotknie, jakiż interes masz, żeby oddać ich i siebie w ręce sprawiedliwości?

— Będę uniewinniony, a nawet wynagrodzony wspólnie z Carterem i ze sternikiem za to, że opuściłem sprawę tych zbrodniarzy, do których zresztą jedynie tylko dlatego się przyłączyłem, żeby moją kochankę uwolnić z więzienia.

— Więc jestem już gotów — odpowiedziałem — nie mam już żadnej uwagi do uczynienia, służę ci na twoje rozkazy.

— Za cztery godziny — rzekł Preston — zejdziesz pocichu na wielką szalupę, przywiązaną do tyłu okrętu, na tej szalupie znajdują się wiosła, busola i trochę żywności, której nawet, jak mi się zdaje, nie będziem wcale potrzebować, bo albo przybędziemy do Louquez za kilka godzin, albo wcale już tam nie przybędziemy. Karolina Prior stawi się tam wkrótce przebrana za majtka, a ja za nią pospieszę. Zresztą nadzieja w Bogu.

Preston odszedł w swoją stronę, a ja w moją, ale odchodząc, widziałem go mówiącego na ucho kilka słów sternikowi, który odpowiedział gestem zezwalającym.

Przyznam się wam — mówił dalej majster Gandolf po chwilowej przerwie — że te trzy godziny, które oddzielały nas od wykonania naszego zamiaru dyabło mi się długiemi wydawały. Nie śmiałem oddychać głośno. Spoglądałem na minę wpółuśpioną tych łotrów, z którymi mieliśmy do czynienia... gdyby nam się nie udało... co za oczy! co za głowy! co za ręce!... zresztą już dowiedli mi co umieli dokonać. Ale rzecz już była ułożona, przyrzeczenie dane, nie sposób się cofać. Słychać uderzenie dzwonu, serce mi biło jak młotem. Świta już, spostrzegam ląd zdaleka! Schodzę, wślizgam się na szalupę, zawieszoną u tyłu okrętu, usiadam na żaglu złożonym w szalupie i czekam... jakiś młody majtek nadchodzi za mną, to Karolina Prior bierze mnie za rękę, czuję, jak drży cała, sadowię ją przy sobie... Widać już trzecią osobę nadchodzącą, już stawia nogę na szalupę, chcę już odwiązać linę przytrzymującą nas do okrętu... Słychać wystrzał pistoletu... wszyscy się budzą. Byliśmy zgubieni, sternik nas zdradził, on to wystrzelił z pistoletu na alarm. Nie zadano sobie nawet fatygi — mówił dalej Gandolf — włożenia na nas kajdam i odprowadzenia nas na spód okrętu razem ze sztabowymi i Carterem, który pierwszy nakreślił plan całego spisku. Sprowadziwszy Cartera na galeryę okrętową i postawiwszy go tym razem z nami, ogłoszono nam, że będziemy niezwłocznie powieszeni. Jak widzicie, wszystko się odbywało bez długich ceremonij. Carter odwołał się od tego wyroku i ujrzałem wówczas, że jakkolwiek jedna połowa zbuntowanych odrzuciła to odwołanie, to jednak druga (na nieszczęście słabsza daleko) podarła jednozgodnie żądanie Cartera. Utrzymywał on, że jako majtek marynarki królewskiej, nie powinien być powieszonym, ale rozstrzelanym. Ja zaś nic nie mówiłem. Zdawało mi się, że wszystko jedno jak umrę, bylebym nie długo cierpiał. Preston zaś jako Irlandczyk i adwokat, prosił o głos; kobiety, które lubią zawsze słuchać mówiących, poparły żądanie Prestona i pozwolono mu mówić.

Co zaś do odwołania się Cartera, zatrzymano się jeszcze na chwilę z ostatecznem jego rozstrzygnięciem.

Preston więc tak zaczął mówić:

„Daję słowo honoru, nie pojmuję was wcale, was wszystkich, których widzę tu przed sobą.

„Pewnego dnia, wy majtkowie marynarki angielskiej, poddani króla Angli, płatni przez rząd, który was swoim chlebem żywi, wpadacie na pomysł zbuntowania, skazania na plagi żony kapitana waszego okrętu, powieszenia na drągu żaglowym pierwszego porucznika, wpakowania na spód okrętu wszystkich oficerów, i kiedy już dokonaliście tego wszystkiego, przychodzi wam niemniej świetny pomysł mordowania się pomiędzy sobą, upijania się rumem kapitana, rabowania żywności i dopuszczania się rzeczy, na których widok sam nawet księżyc rumienił się czasami; zabieracie sobie na własność okręt królewski, oswobodzacie samowolnie kobiety, nad któremi cięży ręka sprawiedliwości, nareszcie jesteście buntownikami w całem znaczeniu tego wyrazu, a jednak dzisiaj na tym samym okręcie, na którym bunt dokonany został, żądacie, żebyśmy wam zdali rachunek z naszego prowadzenia się? mówicie, żeśmy buntownicy, wy sami buntownicy, mówicie, żeśmy zdrajcy, wy sami zgrajcy, najwięksi zdrajcy pod słońcem. Przecież my tylko wasz przykład naśladowaliśmy, czyż ten przykład był zły czy dobry? Jeśli zły, sami na siebie w takim razie wydajecie wyrok, jeśli dobry, za cóż więc nas potępić chcecie".

Majtkowie milczeli, nie wiedząc co odpowiedzieć, a Preston mówił dalej, nie dając sobie nawet czasu do odetchnienia.

„Bądźcie pijakami, rozpustnikami, rozbójnikami, bądźcie czem chcecie być sami, ale nie bądźcie niewdzięcznymi. Ale dość ogólnego rozbioru, przejdźmy do kwestyi osobistej, żeby was lepiej jeszcze przekonać o słuszności moich uwag. Ja, który tu mówię do was, ja, Preston, były adwokat w Irlandyi w Dublinie, mem rodzinnem mieście, zaciągam się na majtka Niagary, idąc za popędem miłości mojej, do młodej deportowanej, odwożonej na tym okręcie, staję się więc majtkiem, być może, że złym bardzo, w każdym razie majtkiem jednak. Knuje się tajemny spisek na tym okręcie, na którym dzisiaj powiesić mnie chcecie, jestem jednym z przywódców tego spisku, to prawda, najczystsza prawda. Spisek dojrzewa i uwieńczony został pomyślnym powodzeniem. Dalej Prestonie, tego mój chłopaku, jesteś dzielnym majtkiem, wybornym kolegą, wszyscyście to mówili, wszyscyście to myśleli. Wszak prawda? a teraz? idźmy dalej, Ten Preston, który sobie pozyskał przecież prawo do niejakich względów, ten sam Preston rozgniewany, że mu chcą wydrzeć jedyną kobietę, którą pokochał całemi siłami swej duszy, słodką i piękną jego kochankę Karolinę Prior, tę dla której już raz się zbuntował, chce zbuntować raz drugi, próbuje tego, nie udaje mu się, a wy zaraz go za to wieszać chcecie. Zastanówcie się przecież, jaka zachodzi różnica pomiędzy pierwszem zbuntowaniem się a drugiem. Nie ma żadnej, jeżeli się nie mylę. Albo jeżeli jest jaka, to chyba ta, że wasze zbuntowanie się kosztowało wiele krwi, a nie mówię tego, żebym wam to wymawiał, o nie! jedynie tylko dlatego, żeby się nie mijać z prawdą. Trzeba więc było, żeby być uniewinnionym przez was, popełnić jakie morderstwo. Widzicie do czego was niesprawiedliwe rozumowanie wasze doprowadzić może. Z jakiejkolwiek strony zechcecie uważać nasz postępek, w każdym razie powinniście nas uniewinnić, kiedyście się sami uniewinnili, a nie macie żadnego powodu nie tylko do potępienia, ale nawet do ganienia naszego postępku, bobyście się sami potępiali. Bądźcie szczerymi sami z sobą, jeżeli pochwalacie wasz czyn, to i mój także powinniście uważać za słuszny i godzien pochwały".

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

I.

Od południa ogień działowy zaczął słabnąć, później trzask karabinów maszynowych ustał zupełnie i pod wieczór można już było ustalić, że się nieprzyjaciel oddala.

Miasto odetchnęło z ulgą. Od kilku tygodni bowiem czerwoni, trzymając się w lasach tuż nieopodal miasta, nękali je i niepokoili dniem i nocą. To też wszędzie powiał inny nastrój.

W mieszkaniu Edwarda odrazu wszystko wracało na dawne miejsce z poprzedniego zamieszania, w jakiem spędzono doby ostatnie, kiedy w obawie pocisków trzeba się było kupić w jednym pokoju, lepiej chroniącym od granatowych niespodzianek.

Iza zbliżyła się do fortepianu, klawiaturę otwarła gestem prawie uroczystym, a potem, obróciwszy piękną matową twarz ku Edwardowi, stała chwilę w niemem wahaniu się, czy porozumiewaniu.

— „Dwa światy?" — szepnęła wreszcie.

— Ależ tak, tak.

Widocznem było, że myśli ich obojga zbiegły się na tej sonacie i tylko czekały zgody wzajemnej.

Iza sięgnęła po nuty i z pomiędzy grubych tomów oprawnych wyjęła zeszyt w rękopisie z poprawkami i przekreśleniami. Przez minutę duże jej oczy zielone przebiegały karty pośpiesznie, jakgdyby chciała pomóc swej pamięci, upewnić się, że zwłaszcza w niektórych miejscach nie zawiedzie jej ręka.

Wreszcie odsunęła nuty w skupieniu na bok, a sama usiadła. Jeszcze raz taburet poprawiła, na moment powieki przywarła, a potem śliczne palce alabastrowe wyciągnęła przed siebie i dotknęła klawiszy.

Ustronny salonik tonął w półmroku. Ampla z pod powały rozsiewała jakieś nieuchwytne mgiełki koloru bzowego, a z zakątka przy kozetce rozchodziły się mocne wonie heliotropu.

Znakomity instrument z pod palców świetnej pianistki wywoływał dźwięki czarowne i napełniał niemi ustronie, pełne artyzmu i subtelnego smaku, świadczące o wysokiej kulturze gospodarzy domu.

Edward z oczyma przymkniętemi wpół leżąc, wpół siedząc, słuchał.

Nie, on już nietylko słyszał, on to widział oczyma swej duszy, co kompozytor tchnął w potężne dźwięki.

Tak... dołem pełza... niby świat gadów i płazów... wstrętny, ciemny... zbłocony, zakurzony korowód, z którego bucha co chwila śpiew dziki, ochrypły...

Raz wraz przerywa go wykrzyk prostacki, niby zgrzyt zapienionej wściekłości, niby charkot bezsilnej złości...

A nad tem wszystkiem potrząsa się płachtę w zaskrzepłej krwi maczaną i dźwiga się ją coraz wyżej, by zasłoniła sobą wszystko, co płynie górą.

Ale Edward widzi wyraźnie te korowody górą płynące... jasne, lotne, obłoczne... żarem uczucia rozpalone do białości... potęgą wionące...

I naraz słyszy, jak się te dwa światy zwarły z sobą — ten z nizin, pełznący — z tym, co górnie płynie... Zmagają się... bój toczą zażarty... I już brudna płachta, nad dolnym pochodem bujająca, cieniem swym zakrywa wszystko jasne, jak złowroga chmura słońce... i już tylko śmiech szyderczy, przekleństwem nabrzmiały, kołtuje się w powietrzu...

Gdy naraz — niby rąbki złote na chmurach w godzinie zachodu — odzywają się echa nadziei wierzącej... i ponad wszystko jasny obłok znów się niesie wzwyż i krzepi.

Ale walki nie koniec.

Burza się wzmaga na nowo. Jeszcze bój się toczy, ale już cały w świetle.

Aż oto kończy się zwycięstwem górnego Światła... tryumfem Serca... królowaniem Ducha...

Edward otwarł oczy. To zamilkł fortepian. Cisza. Jeno Iza coś mówi.

— Edi, wiesz... pod koniec grania... widziałam przy fortepianie Zygmunta... Stał tak, jak czasami przy lekcyi, kiedy miał słuchać dzieła, które dla niego wystudyowałam... Wyraźnie on... Widziałam, jak się przysłuchuje swojej kompozycyi... Ale nie mogłam wpatrzyć się w niego wyraźniej, bo pojmowałam, jak on tego słucha... a jak ja będę musiała się mylić w grze, gdy oczy na niego odwrócę...

Edward pokiwał głową smutnie.

— Widziałaś go... Gdzie on być może? co się z nim stało?... Wiesz, Izo, że nigdy tak dobrze nie rozumiałem tej jego sonaty, jak właśnie dziś dopiero...

— A wiesz, że ja dziś także bardzo głęboko odczułam treść tego wielkiego dzieła.

— Proszę cię, Izo, zagraj jeszcze raz to miejsce, w którem dwa światy nacierają na siebie po raz pierwszy... Tu... tu... tak...

Iza przegrała zaledwie kilka taktów i zaczęła się mylić. Mąż zdziwiony wzrok na nią obrócił, gdy ona już urwała w pół akordu i wychylona przed siebie... błędne oko kierowała w róg pokoju...

— Zygmunt — szeptała. — Stoi tu... Nie widzisz go, Edi... Patrz... blady... Ach! w piersi ran mnóstwo!

Rzuciła się przed siebie i naraz cofnęła... Krzyknęła rozpaczliwie:

— Rozstrzelany!

I zsunęła się do nóg męża.

. . . .

Wczesnym rankiem huk dział obudził miasto zdumione.

Więc wróg nie odszedł, jest z powrotem u bram miasta.

A w mieście popłoch. Z ust do ust niosą się wieści, że czerwoni dostali posiłki, że teraz już lada chwila zdołają wyprzeć białych.

Biali tymczasem szykują się do opuszczenia swego grodu. Gorączkowe przygotowania. Na każdym boku znać, że wszystko dąży do ucieczki.

Kiedy nadszedł wieczór, ulicami zaczęły maszerować wojska, a za nimi ciągnęły się przez całe godziny ciężkie tabory.

Znowu jednak strzelanina ucichła, a ludność przeżywała w tej chwili trwogę coraz groźniejszą.

Nazajutrz rano wszystkiemi ulicami ciągnęli ludzie w jednym kierunku, w dolną dzielnicę miasta. Szli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, a wszyscy nieśli w rękach naczynia.

Ten i ów śpieszył tylko z kociołkiem, tamten z kubłem, z wiadrem. Dzieci z butelkami, matki ich z ogromnymi gąsiorami, wszystko w jedną stronę.

Nad rzeką tuż sterczały mury ogromnych zakładów oczyszczania spirytusu. Magazyny były ostatnimi czasy niezwykle przepełnione. I naraz ktoś wydał rozkaz, by z kadzi wypuszczono zawartość wprost do rzeki.

Wśród nocy buchnęła z rur ciecz ostra, wonna i potokami w rzekę spływała spieniona. Komu bliżej było, poskoczył tam z miejsca. Ale wieść o tem rozniosła się zaiste lotem błyskawicy po najdalszych dzielnicach...

W ciągu paru godzin całe miasto było na nogach — na to, by w godzinę później z nóg się walić na wszystkich ulicach.

Już procesye ludzi z naczyniami próżnemi spotykały na każdym kroku tych, którzy wracając stamtąd, nie mogli unieść swoich naczyń napełnionych, bo już nogi nieść pod górę nie chciały pijanych.

Całe ulice zasypane były niebawem szkłem potłuczonem nad cuchnącemi kałużami, obok zaś wszędzie walały się ciała ludzkie.

Ten spał cicho... Tamten rzucał się jak opętany... Jeden męczył się w wymiotach. Drugi jęczał głośno, błagając o ratunek...

A ten i ów nie potrzebował już niczyjej pomocy... gestem trupim zagradzając drogę nowym pijakom...

Kiedy nadszedł wieczór, ogarnęła miasto większa trwoga, aniżeli myśl o wejściu nieprzyjaciela. Stare kobiety znosiły do mieszkania wodę, by się przygotować na wypadek pożaru. Ale mało gdzie było w domu naczynie, skoro wszyscy z czem mogli—biegli wciąż po wódkę.

Wtem całe miasto zaczęło się trząść w posadach. Huk wszystko ogłuszający trwał od kwadransa...

Nie wiedziano, co się dzieje. Za każdym wybuchem większa panika ogarniała wszystkich. To też wybiegano na dziedzińce, na ulice, po szturchując się wzajemnie i zasypując pytaniami.

Ale już wszystkim odpowiadała krwawo potworna łuna pożaru, oświetlająca w noc miasto niby w dzień.

Jeszcze chociaż rzadkie rozlegały się wybuchy nowych kadzi spirytusowych, a morze ognia szalało nad najniższą dzielnicą miasta.

Czy nieprzyjaciel wśród tego wszedł do miasta, czy też jeszcze bronił to ono — nikt nie umiał sobie wytłómaczyć. Jedni opowiadali, że załoga cała uciekła. Inni utrzymywali, że całe oddziały wróciły i obległy kadzie spirytusowe.

Byli świadkowie, co szczegółowo opowiadali, że widzieli, jak żołnierze, z kotłami, z wiadrami, wdrapywali się na kadzie, by sobie wódki zaczerpnąć... i pijani zsuwali się z krawędzi w głąb... i ginęli w środku...

A potem, kiedy szalała pożoga, w ulicach dymem napełnionych, mięszał się z wonią spi sytusu smród mnóstwa palących się ciał ludzkich.

Przed wyziewami tej spalenizny nie było się gdzie schronić.

Mieszkanie Edwarda znajdowało się w przeciwnej stronie miasta, a przecież pełne było dymu.

Nazajutrz nowa trwoga ogarnęła kupców i właścicieli mieszkań zamożniejszych. Oto w dzielnicy handlowej motłoch pijany gromił sklepy, piwnice plądrował i rabował składy.

Wprawdzie wszystko było zamknięte, zatarasowane, ale już nietylko dźwięczały szyby wystawowe, lecz dzwoniły zgrzytliwie łamane żaluzye żelazne.

Kobiety jak wiedźmy, jak furye, rzucały się z kąta w kąt na łatwą zdobycz... i nietylko same porywały, czego dopadły — ale wszystko niszczyły, lub na bruk uliczny wyrzucały przez drzwi i okna... dla drugich... dla nikogo.

Znowu wszystkiemi ulicami ciągnęły procesye ludzkie w stronę magazynów bogatych, by się obłowić.

A między motłochem uwijali się ludzie z tych sfer, których nikt nie mógłby podejrzewać, że pójdą kraść i rabować — wzorem metów społecznych.

Edward, stojąc w oknie swego gabinetu, co chwila pokazywał żonie ludzi przesuwających się pod murem z jakimś ciężarem nie dwuznacznie świadczącym skąd pochodził.

Pożar i pogrom trwał już parę dni, a miasta jeszcze nieprzyjaciel nie zajął. Robiono różne wnioski, przypuszczenia; ludzie pocieszali się, że musiano gdzieś w polu stoczyć bitwę decydującą i niema już obawy o to, by siły wrogie dotarły do miasta... Gdy naraz ni stąd ni zowąd zauważono na ulicach patrole z wielkiemi kokardami czerwonemi.

— A zatem zmiana władzy.

Tymczasem pogrom wcale nie ustawał. Przeciwnie, rozszerzał się. Po sklepach przyszła kolej na mieszkania, jeno już nie ludność cywilna brała w tem udział, lecz bandy wojskowe, które godzina za godziną wkraczały coraz liczniej do miasta.

Na murach pojawiły się jakieś odezwy z podpisami nowych dygnitarzy. Z poza każdego zaułka trzaskały liczne strzały. Czasem krzyki pijackie mięszały się z dzikim śpiewem żołdactwa.

Wreszcie cisza martwa z mrokiem nocnym zaległa wszystko wokoło. Nawet łuna pożaru przygasła.

Dzień minął następny w wyczekiwaniu nerwowem, w wyczekiwaniu czegoś, co miało nadejść. Ludzie nie odważali się na chodzenie po ulicach, więc tylko ci, którym było blisko, przebiegali z domu do domu do znajomych.

W mieszkaniu Edwarda znalazło się kilku przyjaciół z sąsiednich ulic. Wszystko ludzie z jednej sfery: artyści-twórcy.

Wiedzieli jeszcze mało co o zmianie władzy w mieście i nawet szczegółów nie byli ciekawi. Wystarczał im fakt, że w tej chwili rządy przeszły w ręce ordynarnego chama, który plwać tylko umie na Sztukę, Poezyę, Naukę, na dzieła Ducha... I wielkie w nich było przygnębienie, bo czuli, że niczem nie da się powstrzymać zagłady, jaka groziła Kulturze.

— Jakiś pan szczęśliwy, poeto — mówił rzeźbiarz do Edwarda — że jesteś między nami cudzoziemcem. Bądź co bądź, musisz pan czuć pewną dumę wobec nas, na myśl, że kiedy będzie można stąd bezpiecznie uciec, pojedziesz sobie do własnego kraju i wspominać będziesz nas ze współczuciem, że musimy pozostać tu na zawsze, kiedy ty u siebie zastaniesz wszystko po dawnemu... w cywilizacyi i kulturze...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I nawet nie oglądnęliśmy się, a tu już po Swiętach Wielkanocnych!... Rozpoczyna się dalszy ciąg zwykłej szarzyzny życiowej, tem gorszy, że zbliża się przednowek, a z nim nowa sposobność do podwyższenia wszelkiego rodzaju cen, które rosną bez względu na to, czy wilgoć, czy posucha.

W najgorszem położeniu znalazł się kronikarz, który już w Wielki Piątek musi swą tygodniową pracę oddać drukarni, aby ujrzała światło dzienne dopiero za tydzień. Wypadałoby zaś złożyć sprawozdanie, jak się spędziło święta, aby to uczynić, musiałoby się posiadać ogromną dozę fantazyi, przedewszystkiem zaś nieomylności obecnie bowiem w proroka bawić się trudno, a całe życie składa się ze samych niespodzianek, zamiast zatem sprawozdania z przebiegu samych świąt można jedynie podać niektóre szczegóły z przygotowań przedświątecznych, przypadających na pierwsze dni Wielkiego Tygodnia, a z nich można snuć wnioski, jak wypadną święta, za dalsze zaś siedm dni, mogąc już pomówić o samych świętach przekonamy się, czy przypuszczenia nasze oparte były na realnych podstawach, czy też zawiodły, jak większa część wszelakiego rodzaju prób i zamierzeń.

W pierwszym zatem rzędzie początek Wielkiego Tygodnia przeznaczony jest na uzupełnienie zapasów świątecznych artykułami podlegającymi łatwo zepsuciu (do nich należą wino i wódka, które mogłyby zostać wypite jeszcze przed świętami...) oraz przeprowadzenie porządków domowych, połączone z jeneralnem trzepaniem mebli, myciem okien zawieszaniem firanek, zapuszczaniem podłogi i innemi podobnemi przyjemnościami domowemi, których następstwem ogólna rujnacya w domu i konieczność obejścia się bez obiadu począwszy od poniedziałku. Właściwe piekło domowe rozpoczynało się dopiero we czwartek, gdy gospodyni zabierała się do przygotowania słodkich przysmaków świątecznych, t. j. babek, jajeczników, placków, tortów i jak się tam jeszcze te rozmaite bałabuchy nazywają, bez których stół świąteczny nie mógłby się obejść. Od tego dnia począwszy, a na sobocie wieczór skończywszy, do pani domu z zapytaniem się nie zwracaj, nie otrzymasz bowiem żadnej odpowiedzi, co najwyżej, na interpelacyę twą w najważniejszej choćby sprawie, odpowie ci niczem gramofon, mając głowę widocznie czem innem nabitą:

— Sześć jaj, cztery łuty masła, trzy łyżki białej mąki...

A gdy zwrócisz jej jeszcze raz uwagę, że pytałeś zupełnie o co innego, rzeknie machinalnie w dalszym ciągu:

— To wszystko trzeba należycie przetrzeć przez sito...

I niema się czemu dziwić, owe, baby, placki i mazurki to była jej chluba, a zarazem robienie na złość przyjaciółkom, które strawić tego nie mogły, gdy ich baby były mniej wyruszane i wyrośnięte, a gatunków wszelakiego ciasta mniej niż gdzieindziej. W kąt konferencya genueeska ze swojemi komisyami i podkomisyami politycznemi i finansowemi i jak się tam jeszcze nazywają wobec ustawicznych narad żeńskiej części domowników z wezwaniem rzeczoznawczyń z sąsiedztwa nad rozmaitymi problemami, stojącymi w związku ze święconem. Cała rodzina od rana do późnej nocy w ruchu każdy zajęty, o ile są chłopcy w domu pełnią oni obowiązki kuryerów, co chwila bowiem pokazuje się, że potrzeba jeszcze tego lub owego, w co bardzo łatwo zaopatrzyć się w każdym sklepiku i to za kilka centów zaledwie, ale trzeba uważać bacznie, aby przypadkiem „żydzi nie zasiedli na święta“, bo nasze gospesie ich handle otaczały największem zaufaniem, a jak gdyby na złość i oni także w tym czasie obchodzą uroczystość Paschy, trwającą cały tydzień.

W następstwie podobnego rozgardyaszu w domu w handelkach i restauracyach było pełno, pominając bowiem kwestyę, że ten i ów kręcił się między znajomymi, aby pożyczyć pieniędzy na wydatki świąteczne, drugi przybył tu celem czynienia zakupów, inny wreszcie, chciał mieć dach nad głową, wypędzony z pod własnego, „gdzie się robi porządki“.

Dziś wszystko zniesione, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. I przygotowań świątecznych w domu się nie robi i tak gruntownych jak po inne lata porządków, w knajpach natomiast pełno, a to z tego powodu, iż mężowie schronili się tutaj, aby sobie oszczędzili przykrych wyrzutów ze strony swych połowic, że zbyt mało dali na pokrycie wydatków, o urządzeniu święconego i przyjęciu gości ani mowy, wystarczy zaledwie na zaopatrzenie się w artykuły spożywcze, mające uratować od głodowej śmierci przez dwa dni świąt i conajmniej dwa następne, gdy panowie piekarze i rzeźnicy będą jeszcze świętować i bawić się w najlepsze, gdyż ich stać na to. Gospodynie pogodziły się już częściowo z przykrą koniecznością obchodzenia się we święta bez rozmaitych niepotrzebnych zresztą, choć uświęconych tradycyą, przyzwyczajeń i nie obawiają się o swą dobrą sławę, aby je „służąca nie obniosła“, że u nich brak tego lub owego. Na tym punkcie są jednak stale bardzo drażliwe i chętnie naprzykład podjęłyby się ugotowania znajomym szynki, o którą oczywiście oni sami muszą się postarać, aby módz zaimponować kucharce Maryni lub Kasi, jaki to dobrobyt panuje w domu, że można sobie pozwolić na włożenie równocześnie dwu szynek do garnka.

Także i drażliwość tak rodzaju żeńskiego jak i męzkiego podniosła się obecnie o kilkanaście stopni, skutkiem właśnie owych braków, z jakimi się ma na każdym kroku do walczenia. Irytacya pani domu odbija się w pierwszym rzędzie na małżonku, ten zatem kontent jest, jeśli może dać nura, a że niema ochoty włóczyć się bezmyślnie po mieście i być narażonym na pokusy ze strony rozmaitych podkasanych aniołków, mimowoli ciągnie tam, gdzie się czuje bezpiecznym i wie, że spotka tam innych towarzyszy niedoli, z którymi podzielić się można kłopotami, co, jak wiadomo, wpływa na to, iż one tak boleśnie nie dolegają. Pozbywszy się jednak części swoich, obarcza się kłopotami i zmartwieniami innych, nic też dziwnego, że częstokroć popada w nastrój tak naprawdę wielkopostny, iż bez obcej pomocy dostać się do domu nie może, a przybywszy tam spotyka się z wyrzutem, że na swoje przyjemności nie żałuje, a na domowe potrzeby skąpił, że go zatem spotka kara boża za sprzeniewierzenie się tradycyom rodzinnym, gdy on natomiast byłby chętnie zadośćuczynił żądaniom swej władzy domowej, gdyby tylko był mógł, i ta właśnie okoliczność, że nie może, choć chciałby, wtrąciła go w ten smętny nastrój, który zresztą jest tylko następstwem umartwienia grzesznego ciała i wykonywania praktyk wielkopostnych.

Co się tyczy porządków domowych, to i one ograniczono w roku bieżącym do *minimum*, a to z powodu kosztów, połączonych z ich przeprowadzeniem. O zapuszczaniu podłogi ani mowy być nie może, pranie firanek jest także zbyt kosztowne, skończyło się zatem na trzepaniu mebli, a na tem wyszli najlepiej sami domownicy, nie bolała ich bowiem głowa od najrozmaitszych zapachów, połączonych z przygotowaniami świątecznemi. Większość naszego społeczeństwa, oczywiście mamy tu na myśli sfery pracujące umysłowo, przekonała się, że można bardzo spokojnie obejść się w tym czasie bez rozmaitych rzeczy, bez których nie wyobrażano sobie świąt wielkanocnych. Przykra konieczność, będąca jednem z dobroczynnych następstw wojny, nauczyła ludzi wstrzemięźliwości w rozmaitych kierunkach, trudno bowiem przebić głową mur, gdy ona od niego słabsza. W roku 1922. wielu ludzi nie mogło sobie we Wielki Piątek pozwolić nawet na taką, niegdyś popularną potrawę, jak pieczone ziemniaki, dzisiaj bowiem osiągnęły one cenę ananasów, pozatem potrzeba do nich masła, a o takowe i trudno, i chcąc się w nie zaopatrzyć, trzeba być naprawdę milionerem.

Dni Wielkiego Tygodnia nie różniły się zatem niczem od reszty dni w roku, tem chyba, że jejmość była stale podrażniona, przypominając sobie dawniejsze lata, wobec tego także i bardzo wojowniczo nastrojona, co musiało się udzielić także i jej otoczeniu. Jeżli któraś z gospodyń domu zdobyła się na upieczenie babek lub jakiego placka, zabierała się do tego z nadzwyczajnem nabożeństwem, a zarazem także i w ścisłej tajemnicy przed wzrokiem, węchem i słuchem sąsiadów, z obawy, aby to nie doszło do wiadomości władz skarbowych, które niezawodnie, uważając rodzinę tę za milionerską wymierzyłyby jej odpowiednią daninę. Od poniedziałku do soboty włącznie słyszało się w domu tylko narzekania na ciężkie czasy, a ten i ów zapytywał się w duchu sam siebie, a potem i innych kiedy też doczekamy się dawnego przedwojennego święconego, z wszystkimi tymi przysmakami w stanie stałym i płynnym, w jakie dawniej stół każdego śmiertelnika obfitował. Nie wyklucza to jednak bynajmniej, że i w obecnych warunkach w bardzo wielu rodzinach przygotowano święcone i to nawet wspanialsze, niż bywało przed wojną, ale aby sobie na to pozwolić, trzeba należeć do tak zwanych *nouveau riche'sów*, t. j. istot będących jedną nogą na wolności, a drugą w kryminale. Nie braknie im niczego, bo stać ich na to, aby się zaopatrzyli we wszystko, czego tylko dusza zapragnie, czy im to jednak będzie smakować, to bardzo wątpliwe. Wielu młodych głodomorów wybiera się na podobne święcone do znajomych paskarzy i obiecują sobie, że nie będą żałować ani nagromadzonych darów bożych, ani też swych żołądków. Aby jednak znaleźć się w tem przyjemnem położeniu, musi się mieć znajomości w tych sferach, a trzeba przyznać naszym nowym milionerom, że w robieniu znajomości są bardzo ostrożni i w każdym obcym podejrzewają ukrytego wroga lub szpiega, dybiącego na ich honor i wolność. Bawią się też swobodnie jedynie w swem własnem kółku.

Wielki Piątek i Wielka Sobota, jak co roku, poświęcone będą zwiedzaniu Grobów Chrystusowych, oczywiście trzymając się zdaleka od stolika, przy którym zasiadły dobroczynne, kwestujące damy. Wędrówki te po kościołach urządza się nie z pobożności, lecz dla zabicia czasu, o godzinie szóstej wieczór w sobotę spieszyło się dawniej na rezurekcyę na Wawel, a potem do domu, gdzie rozpoczynano nieoficyalnie święcone. Tłumy ludzi zalegały też katedrę i wzgórze wawelskie, nie mogąc się doczekać końca, a potem pospiesznie ciągnęli wszyscy w stronę ognisk domowych, gdzie nie pomogła opozycya gospodyni, musiało się zrobić próbę, czy też szynka niezbyt twarda. W roku bieżącym prawdopodobnie także wielu znajdzie się w sobotę wieczór na zamkowej rezurekcyi, lecz większość ich pójdzie potem na spacer, żegnana przez Kościuszkę z barbakanu Władysława IV. pięknym ukłonem i słowami: „A bawcie się dobrze, bo to przecież święta wielkanocne!...“

Najsmutniejsza jednak perspektywa czeka w Niedzielę Wielkanocną i Poniedziałek, tak zwane „Oblewanie„. Po inne lata spędzało się niedzielę przyjemnie i pożytecznie w ścisłem kółku domowem, przy obficie zastawionem stole, w poniedziałek kontynuowało się to samo zajęcie, ewentualnie odwiedzało się znajomych, którzy z staropolską gościnnością przyjmowali każdego, wychodząc z zasady: „Gość w dom, Bóg w dom“.

Jeżli się zważy, jakie w tym roku poczyniono przygotowania do święconego w przeważnej części rodzin, nie należy wątpić, że przebieg samych świąt, nie będzie bynajmniej wesoły, trzeba będzie siedzieć w domu przy pustym stole, a co najwyżej przy szklaneczce herbaty, jeżli zaś ktoś zdobył się na jakiś przysmak świątecznych, nietylko nie podzieli się nim ze zgłodniałym i spragnionym bliźnim, ale się nim nawet nie pochwali. I tak, jak dawniej wzdychano gorąco do tego, aby w święta jawiło się przy stole jak najwięcej gości, dziś prosi Pana Boga, aby ich kroki skierował w inną stronę. W przeważnej części rodzin życie we frontowych pokojach w oba te dni zamiera, aby się nazywało, że „państwo wyjechali“, rodzina zaś przenosi się do ablikacyi od podwórza. Pewien dowcipniś wpadł też w roku ubiegłym na bardzo dobry pomysł. Oto chcąc w kilku rodzinach znajomych złożyć życzenia świąteczne, aby w ten sposób zadośćuczynić potrzebie serca i żołądka, by się niepotrzebnie nie narażać na chodzenie po piętrach i dzwonienie napróżno, zamówił sobie poprostu kataryniarza i z nim obchodził podwórza realności, gdzie mieszkali znajomi. Kataryniarz zajmował środek podwórza i rozpoczynał koncert, nasz pomysłowy bohater stawał w kącie i oczekiwał, jaki będzie skutek muzyki. O ile u znajomych okno się otworzyło i pokazały się w niem głowy ludzkie, witał je pięknym ukłonem, a następie spieszył na górę, bo trudno udawać dłużej nieobecnych, jeśli się już pokazało ludziom. Na ogół wyszedł na tem bardzo dobrze, kosztowało go to bowiem wprawdzie kilkaset marek, jako subwencya dla kataryniarza, lecz zjadł i wypił lekko licząc za kilka tysięcy. Początkowo zwłaszcza gospodyni bywała bardzo sztywna, zła sama na siebie, że się pozwoliła wyłapać, gospodarz natomiast, kontent, iż znalazł kogoś, z kim można pogadać, wyciągał z ukrycia jakąś butelczynę, a nie brakło także i przegryzki, tak z zakresu świńskich delikatesów jak i rozmaitych słodkości... W bieżącym roku na podobny eksperyment puścić się trudniej, kataryniarzowi trzebaby bowiem zapłacić przynajmniej dziesięć razy więcej, niż wówczas, pozatem rodziny, nauczone zeszłoroczenem doświadczeniem, okażą się na muzykę nieczułe.

W niedzielę Wielkanocną nie pozostanie zatem nic innego do zrobienia, jak siedzieć spokojnie w domu i jeść samemu o ile Pan Bóg coś dał, popołudniu zaś, jeżli pogoda dopisze, pójść na spacer, aby się nasycić bodaj świeżem powietrzem, skoro czem innem nie można. W poniedziałek jeszcze smutniejszy, niż niedziela, choć się bowiem nazywa „oblewany“, musi się go spędzić na sucho, chyba, że ktoś jest amatorem wody, na inne bowiem trunki zwykły śmiertelnik pozwolić sobie nie może. Na poniedziałek przypada pierwsza wycieczka Krakowian za miasto, połączona z odpustem na Zwierzyńcu, gdzie w latach przedwojennych bardzo hucznie obchodzono „Emaus“ i z prawdziwie staropolską gościnnością podejmowano przybyszów z miasta. Dziś, niestety, od czasu aneksyi tego przedmieścia przez Kraków, zniknęła bezpowrotnie dawna cnota.

Delegacya sowiecka w Berlinie.

Delegacya rządu sowieckiego na konferencyę genueńską obrała drogę z Rygi przez Niemcy i Szwajcaryę. Podczas pobytu w Berlinie byli członkowie delegacyi z Cziczerinem na czele podejmowani bardzo wyróżniająco, Niemcy chciały w ten sposób wido cznie pokazać światu, jakie sympatye łączą je z rządem Lenina i Trockiego.

Witani i fetowani delegaci nie domyślali się nawet, jak liczne rzesze detektywów kręciły się dokoła nich: jedni dla ochrony ich przed napadami zamachowców rosyjskich, drudzy dla niedopuszczenia skomunikowania się z nimi komunistów miejscowych. Delegaci sowieccy oblegani byli przez dziennikarzy miejscowych. Najciekawszy wywiad uzyskał współpracownik *Berliner Tageblattu*, któremu Cziczerin oświadczył, co następuje:

— Rząd rosyjski zupełnie jasno zdaje sobie sprawę z tego, że odbudowa gospodarcza Rosyi może być dokonaną tylko przy czynnej pomocy zachodnio-europejskich grup gospodarczych. Jest również przekonanym, że w pierwszym rzędzie Niemcy są powołane do wzięcia udziału na wielką skalę w akcyi odbudowy.

Nietylko położenie gospodarcze Niemiec, jako naszego sąsiada, ale i wasze bogate środki techniczne umożliwią nam to w zupełności. Jesteśmy zdania, że w naszym interesie leży wyłącznie porozumiewanie się oddzielnie z poszczególnemi grupami państw zainteresowanych i dlatego bezwarunkowo odrzucamy wyłoniony w Cannes projekt stworzenia międzynarodowego syndykatu odbudowy Rosyi. Będziemy gotowi do wszelkich kombinacyi z poszczególnemi państwami, ale nigdy nie zgodzimy się na współpracę, któraby zagrażała niebezpieczeństwem naszej swobodzie postępowania. Oświadczaliśmy to już niejednokrotnie i to bardzo dobitnie.

Na zapytanie o stosunkach franko rosyjskich na tle wywiadu, udzielonego przez Radka współpracownikowi *Matina*, Cziczerin odparł:

— Oświadczenia Radka naogół zgadzają się ze stanowiskiem rządu rosyjskiego. Natomiast uwagi Radka o Anglii należy uważać za czysto osobiste i rząd nasz nie bierze za nie odpowiedzialności.

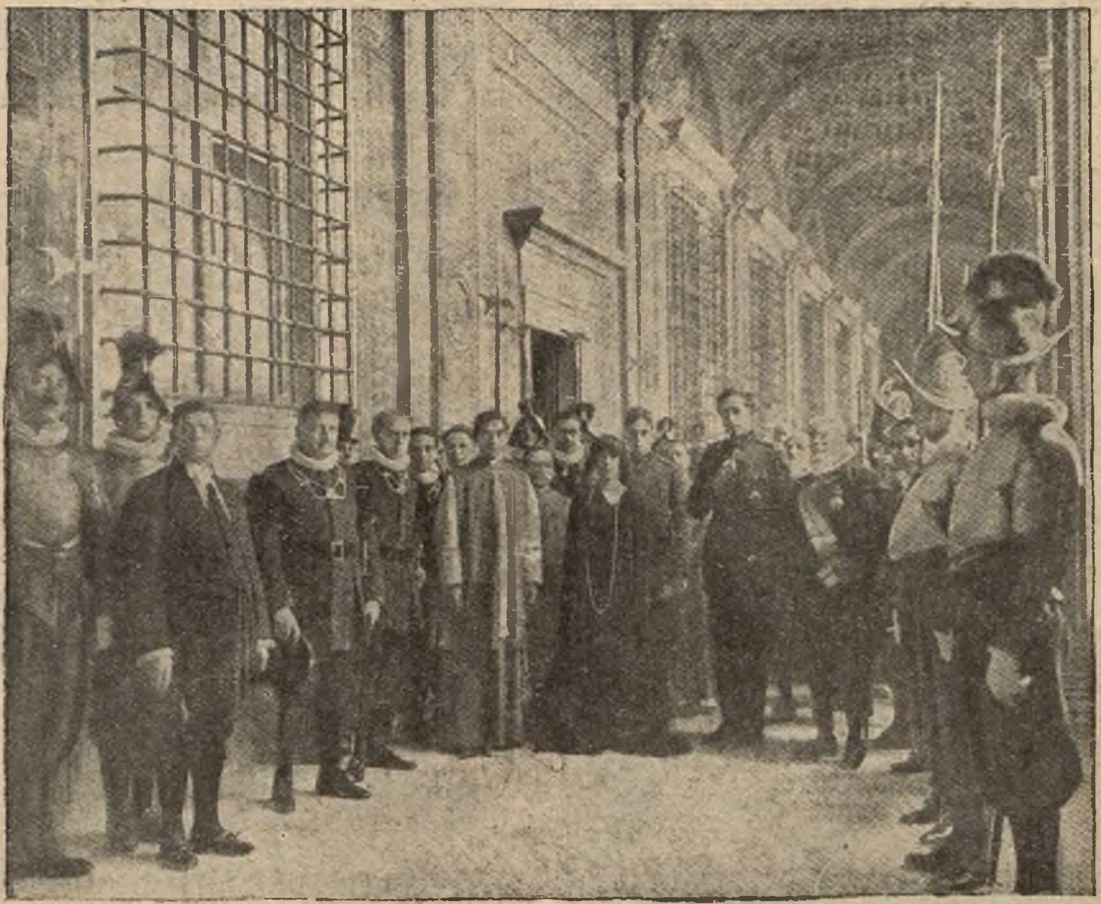
— Czy nie przypuszcza pan, że wznowienie normalnych stosunków franko rosyjskich jest istotnie możliwe?

— Zależy to — odrzekł Cziczerin — całkowicie od stanowiska Francyi w Genui. Co do nas, udajemy się do Genui z zamiarem uczynienia wszystkiego, co do nas będzie należało, dla przywrócenia ładu i porządku w Europie. Odbudowa Europy jest nie do pomyślenia bez odbudowy Rosyi. Jeśli Francya tego nie przyzna, to na jej odpowiedzialność spadnie „fiasco" konferencyi genueńskiej. My jesteśmy między sobą całkowicie zgodni co do naszej taktyki w Genui. Zamierzamy szczerze i otwarcie zakomunikować poglądy nasze narodom Europy i kierować się będziemy tylko życzeniem najszybszego przywrócenia normalnych stosunków.

Mówiąc o sytuacyi wewnętrznej Rosyi, Cziczerin podkreślił, że nowe ustawodawstwo gospodarcze ma na celu popieranie współpracy gospodarczej Rosyi z państwami europejskiemi. Należy zwrócić uwagę zwłaszcza na ostatnie zarządzenia rządu sowieckiego w dziedzinie prawa prywatnego i publicznego, które uwzględniają interesy kapitału zagranicznego w Rosyi. Niesłychanie doniosłe zadanie ma obecnie zagranica do spełnienia w Rosyi.

W końcu rozmowy Cziczerin udzielił następujących informacyi o chorobie Lenina:

— Lenin — rzekł on — nie jest chory, a tylko przepracowany. Od pewnego czasu cierpi na bezsenność: innych symptomatów chorobliwych nie stwierdzono. Powołanie luminarzy lekarskich do Moskwy tłómaczy się koniecznością zasięgnięcia u nich porady po nieprzerwanej, naprężonej pracy...



Belgijska para królewska w Rzymie: Król Albert z małżonką Elżbietą i następcą tronu Leopoldem w towarzystwie antikamery papieskiej przed posłuchaniem u Piusa XI. w galeryi Loggii.



Belgijska para królewska w Rzymie: Belgijscy goście i król włoski podczas przechadzki na Palatynie.

Reaktywowanie polskiej prowincyi Braci Miłosierdzia

Dekretem Stolicy Apostolskiej z dnia 7 marca b. r. powołaną została napowrót do życia polska prowincya Braci Miłosierdzia, skasowana w r. 1865. Niegdyś liczyła ona siedmnaście konwentów wraz z szpitalami, rozrzuconych po całej Polsce, a nosiła nazwę polsko litewskiej, reaktywowana obecnie, jako polska, obejmuje ich zaledwie pięć: Kraków, Zebrzydowice, Cieszyn, Marysin i Bogucice. Kasata poszczególnych konwentów jest dziełem byłego rządu rosyjskiego i austryackiego, te, które się szczęśliwie ostały, przyłączono do prowincyi czesko-austryackiej, od r. 1918 trwał stan przejściowy, a polskie konwenty byłego zaboru austryackiego i pruskiego przydzielono czasowo do prowincyi prusko śląskiej, a delegatem jej, z władzą prowincyała został mianowany przeor krakowskiego konwentu O. Jacek Misiak, obecnie po wejściu w życie dekretu Stolicy Apostolskiej, wybrany pierwszym prowincyałem wskrze-



O sprzedaż Dojlid: Wiceprezes P. S. L. dr. Kiernik, były prezes Głównego Urzędu Ziemskiego.

szonej polskiej prowincyi Braci Miłosierdzia. O. Jacek Misiak, urodzony w roku 1870 w Tarnówce, Ziemi Kaliskiej, po odbyciu służby wojskowej w szeregach armii rosyjskiej na Kaukazie i Turkiestanie, wstąpił w r. 1898 do Zakonu Bonifratrów w Krakowie. Po ukończeniu nowicyatu w klasztorze wiedeńskim, gdzie pełnił służbę na oddziale chirurgicznym i w ambulatoryum dentystycznem, przebywał w Pradze, Zebrzydowicach, Cieszynie, Prościejowie, w Bernie Morawskiem i Krakowie, gdzie w roku 1906 pełnił funkcye podprzeora, a po przewrocie politycznym w r. 1918 i oczyszczeniu polskich konwentów z czeskich i niemieckich nieproszonych go-



O sprzedaż Dejlid: Poseł Bryl (P. S. L.), który był powodem burzliwego zajścia podczas posiedzenia sejmowego.

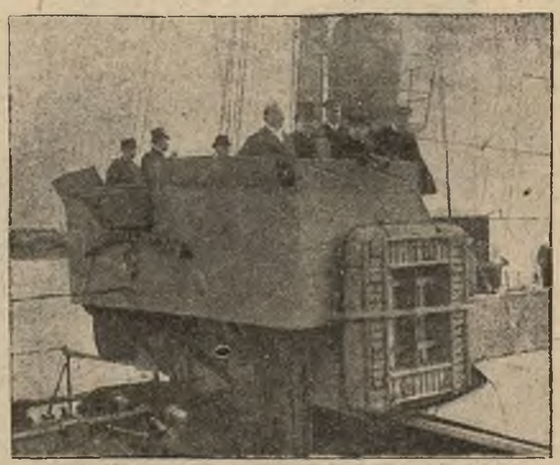
ści, obrany przeorem, z pożytkiem dla Zakonu i cierpiących, kierował konwentem w ciężkich, powojennych czasach i dokładał starań, aby kwitrącą niegdyś humanitarną placówkę, zniszczoną prawie zupełnie przez wojnę, doprowadzić znowu do pierwotnego stanu. Obecnie czeka go również trudne zadanie zorganizowania powołanej na nowo do życia prowincyi polskiej i zapewnienia jej warunków pomyślnego rozwoju, nie należy bowiem zapominać, że Zakon Braci Miłosierdzia majątku nie posiada, a działalność jego na polu humanitarnem zależy wyłącznie od dobroczynności publicznej, która polskich Bonifratrów nigdy dotąd nie zawiodła i tem bardziej teraz o nich pamiętać powinna.

W pracach organizacyjnych pierwszemu prowincyałowi pomagać będą wydatnie, znani również dobrze z dotychczasowej swej działalności, definitorzy prowincyi O. Eustachy Mikołajewski i O. Brunon Szymała. Pierwszy z nich, Poznańczyk rodem, wstąpił do Zakonu w r. 1895 we Wrocławiu, następnie kolejno przebywał w Marysinie, Pilchowicach, Prudniku, w Lilienthal pod Wrocławiem, a ostatnio znów w Marysinie, skąd przybył do Krakowa. Specyalizował się w aptekarstwie i był podlekarzem. O. Bruno Szymała, pochodzi z Górnego Śląska, a habit zakonny przywdział w r. 1892. Po kolejnym pobycie we Wrocławiu, w Bogucicach, Marysinie i Pilchowicach uciekać musiał przed prześladowaniami rządu pruskiego do Krakowa. I on także poświęcił się aptekarstwa i jest podlekarzem.

Kierownictwo polskiej prowincyi Braci Miłosierdzia pozostaje w Krakowie, tutaj również mieści się i nowicyat.

Prezydent Millerand w Afryce Północnej.

Dnia 30 marca p. Millerand opuścił Paryż, udając się w oficyalną podróż do Afryki północnej. Prezydent ma zwiedzić kolejno Marokko, Algier



Prezydent Millerand w Afryce Północnej: Prezydent Millerand z swym orszakiem w Bordeaux na statku *L'Admiral-Senès* w drodze na pokład krążownika *Edgar-Quinet*, na którym odbył drogę do Afryki.

i Tunis; trzy kraje afrykańskie, gdzie Francya ostatecznie ugruntowała swe wpływy. Nigdy jeszcze podróż prezydenta nie obejmowała tak wielkich przestrzeni, po raz pierwszy głowa państwa francuskiego uda się do Marokko, protektorat nad którym został definitywnie Francyi przyznany.

Stworzenie i skonsolidowanie posiadłości francuskich w Afryce północno zachodniej jest dziełem ostatniego stulecia. Polityka kolonialna Francyi zmierzała głównie w tym kierunku, ażeby ugruntować wpływy francuskie w tej części Afryki, a zarazem nad morzem Śródziemnem. Rozumiano we Francyi, że jedynie posiadanie całego wybrzeża afrykańskiego zapewni bezpieczeństwo południowym granicom Francyi.

Polityka ta zainaugurowana została jeszcze w r. 1870. Wejście w tym roku wojsk francuskich do Algieru i zajęcie tego kraju powróciło Francyi w znacznej mierze charakter państwa kolonialnego, które to stanowisko zostało stracone po wyparciu Francuzów z Kanady i Indyi. Zajęcie Algieru pozwoliło Francyi ugruntować swe wpływy w Tunisie nad którym w roku 1881 ustanowiony został protektorat francuski. Francya posiada tam jeneralnego rezydenta, który pełni funkcye ministra spraw zagranicznych Tunisu. Poza tem zorganizowała tam wojsko, skarb i sądownictwo, nad którémi roztacza opiekę. Najwięcej trudności miała Francya z rozciągnięciem swego protektoratu nad Marokkiem. Zgodę na to od Anglii otrzymała w zamian za uznanie protektoratu brytyjskiego w Egipcie, natomiast Niemcy nie chciały się na to zgodzić. Dyskusya francusko-niemiecka na ten temat była przedmiotem różnych sporów dyplomatycznych w czasie przedwojennym. Zaznaczyć wypada, że Algier, Tunis i Marokko liczą 1540 tysięcy kilometrów kwadratowych i posiadają 15.000 ludności.

Prasa francuska z zadowoleniem pisze o podróży p. Millerand'a, dowodząc, że prezydent Republiki pojechał do Afryki, aby złożyć hołd w imieniu



Prezydent Millerand w Afryce Północnej: Przed wyjazdem do Afryki opuszcza prezydent Millerand ratusz w Rochelle.

rządu tym rasom, które walcząc w tej wojnie obok wojsk francuskich, wykazały swe przywiązanie do Francyi i zadać kłam twierdzeniom Anglii stale posądzającej Francyę o imperyalizm i z niechęcią przyglądającej się rosnącym wpływom francuskim w Afryce. Istotnie Francya wielkie położyła zasługi dla rozwoju kulturalnego tamtejszej ludności, oraz przyczyniła się do podniesienia handlu i przemysłu tych krajów, których bogactwa w słabej tylko mierze były eksploatowane.

Hydroplanem przez Atlantyk.

Dotychczas przedsiębrano próby komunikacyi napowietrznej między Europą a Ameryką wyłącznie w północnej części Atlantyku, to jest między Europą a brzegami Stanów Zjednoczonych. Udało się zwalczyć trudności, jakie nastręcza przedewszystkiem odległość i można śmiało powiedzieć, że stoimy w przededniu regularnego komunikowania się starego



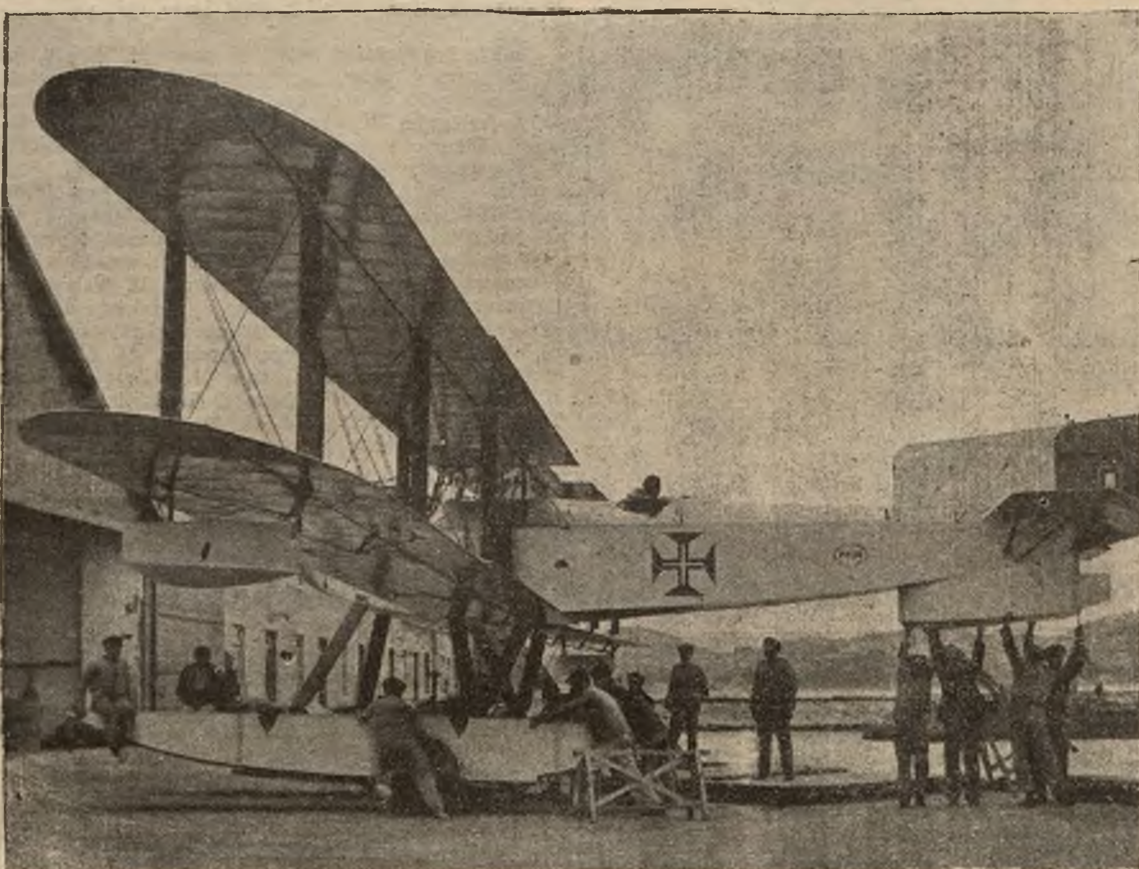


Delegacya sowiecka w Berlinie: 1) Cziczerin po przybyciu do Berlina w dniu 1 kwietnia b. r. w rozmowie z baronem Malzahnem. 2) Członkowie delegacyi sowieckiej udającej się przez Berlin do Genui.

świata z nowym drogą powietrzną, przy czem zyska się bardzo wiele na czasie, ulepszenia zaś w dziedzinie statków powietrznych dają gwarancyę prawie zupełnego bezpieczeństwa.

Obecnie przyszła kolej na południową część Oceanu Atlantyckiego. Drogę z Lizbony do Rio de-Janeiro przebyli szczęśliwie dwaj portugalscy piloci, kapitan marynarki Sacadura Cabral, wykształcony we Francyi w zawodzie lotniczym i kolega jego Gago Continho, na hydroplanie „Farey 400". Droga z Europy do Ameryki Południowej wedle z góry ułożonej marszruty pochłonęła nieco więcej czasu, niż sobie pierwotnie zakreślono, odbyto ją jednak bez poważniejszego wypadku.

Początek zatem zrobiony i, zdaje się, nie będziemy długo czekać, a szanujący się i znający wartość czasu postępowy człowiek, nie użyje innego środka lokomocyi, jak drogi napowietrznej. W ostatnich czasach uruchomiono stałą komunikacyę powietrzem między Londynem a Konstantynopolem, a czas jazdy będzie o czterdzieści godzin krótszy od bezpośredniego połączenia pociągami pospiesznymi.



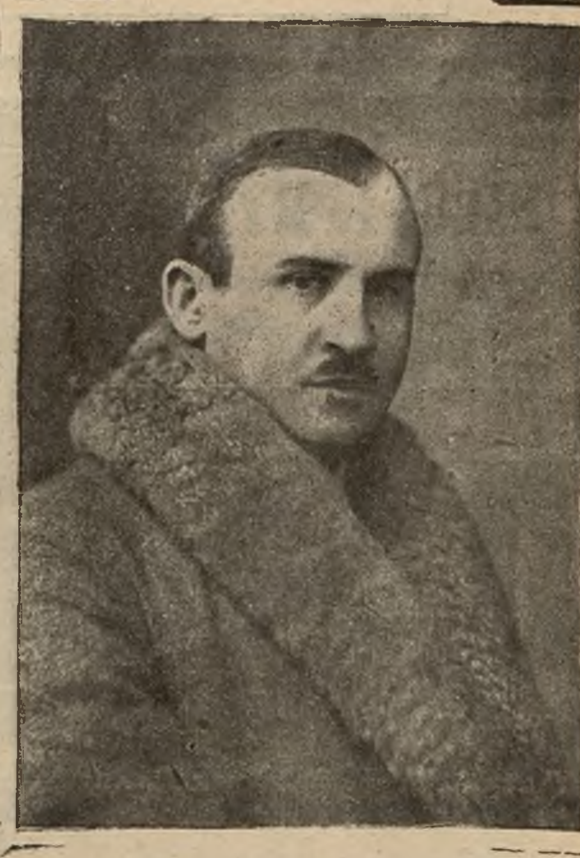
Hydroplanem przez Atlantyk: Statek powietrzny „*Farey 400*" opuszcza hangar w Lizbonie przed odlotem do Rio-de-Janeiro.

Z TEATRÓW

Jeśli ktoś, powodowany nadmierną pożądliwością teatrów, sądzi, że los sprawozdawcy teatralnego jest miły i zazdrości godzien (jako, że recenzent z obowiązku bywa na każdej „premierze") — taki niechaj nie prowokuje ręki Opatrzności, gdyż snadnie za karę może zostać zamieniony w „krytyka" teatralnego, a wtedy,... wtedy po miesiącach dwóch, trzech, gotów zażądać jeśli nie zniesienia tej szlachetnej instytucyi, to przynajmniej ograniczenia przedstawień do jednego na kwartał...

Przyczyny tej desperacyi?? Ach, te są rozmaite, począwszy od tortur, zadawanych przez bliźnich przy garderobach, a skończywszy na niekoniecznie miłem a przymusowem obcowaniu z różnymi autorami tak wyrobu krajowego, jakoteż importowanego z zagranicy... Jakby się zmówili na to, by słuchacza drażnić, gniewać i dokuczać mu przez parę godzin brakiem logiki, eksperymentami czysto kinowymi, pustką frazesów i tragiczną wprost płytkością stawianych problemów i pogłębień charakterów. Dzisiejsze sztuki obliczone są przedewszystkiem na masy szerokie, teatralnie niewyrobione i niewykształcone, niecierpliwe, żądne kalejdoskopowych zmian tak na ekranie, jakoteż i na scenie... Takiego pana, jak pan Paweł Eger, który napisał „Adama, Ewę i węża" (grane w „Bagateli"), albo takiego pana Ludwika Herzera z jego „Morphium", szumnie zatytułowanym „nokturnem" — każdy krewki człowiek z przyjemnością by sobie wypożyczył bodaj na kwadrans interesującej pogawędki... Ich utwory są tak beznadziejnie dramatyczne, że powodują śmiech, zaraźliwe ziewanie i hałaśliwe opuszczanie sali przed końcem przedstawienia... Reżyserują też te sztuki na modłę przedstawień kinowych. Na scenie ciemno, raptem zaświeca się „sama" jedna lampa, oświecając zielonożółtą twarz bohatera sztuki, to znów w drugim kącie pokoju zapala się (znów sama!) druga lampa, aby okrwawić swem światłem przeźroczyste ażury i dekolty bohaterki sztuki, to znów rozsuwa się kotara (sama!) i wykrzywia do cię, o biedny widzu i słuchaczu! obrzydliwą gębę posąg jakiegoś Buddy czy innego cudaka, potem znów otchłanna ciemność, w tem straszliwy błysk, strzał, ciemność powtórna jeszcze ciemniejsza, na widowni jęk „Aj waj, mein Gott!" — kurtyna zapada, akt jeden skończony!! Krytycy teatralni ocierają pot z czoła, spozierają na siebie obłędnym wzrokiem, panny na widowni podenerwowane, młode mężatki płoną od wypieków, mężczyźni... ci stosownie do indywidualności: jedni „haszyszują się" nikotyną, inni twierdzą, że dezabile p. Malickiej lub p. Bruczowej są wspaniałe, tylko jeszcze za umiarkowanie wycięte, inni krzepią nadszarpane wstrząsem ciała powierzonych sobie dam — słowem, jest teatr i sztuka w pełni!

Ba, po co mówić o autorach importowanych, kiedy i nasi do nich podobni! Naprzykład nasz pan Krzywoszewski! Ale o nim — osobno — następnym razem... Piszący te słowa jest już tak zdenerwowany, tak wspomnieniami podniecony, że, by ochłonąć, prędko leci na „muzyczkę", na „Żydówkę" — lub (jeszcze raz) na „Trubadura". I pójść się opłaciło. W „Trubadurze" debiutował p. Wł. Pawłowski, ze szkoły (tak słyszę) p. Warmutha. Bez pochlebstwa zaznaczyć trzeba, że p. Pawłowski ma głos bardzo piękny, panuje nad nim swobodnie, bez wysiłku (cudowne, lekko płynące piana), na rzetelne uznanie i poparcie zasługuje. *b—t*



Z Teatrów: P. Wład. Pawłowski, śpiewak operowy debiutował w „Trubadurze". Fot. art Kuczyński.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

ułożył S. Gajewski Poznań.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	i	k
k	n	o	o
o	r	r	t
t	y	y	z

Znaczenie wyrazów: Imię żeńskie dość rzadkie, dziś często powtarzane, 2. Hrabstwo w Anglii, 3. Wyrażenie muzyczne, 4. Miejscowość znana z wypraw krzyżowych.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Kubicówna Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę miasta, o którem się dziś ogólnie mówi.

■ ■ ■ ■ ■
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Grecki bajkopisarz, 3. Rzeka w Afryce, 4. Nazwa plemienia znanego z biblii, 5. Samogłoska.

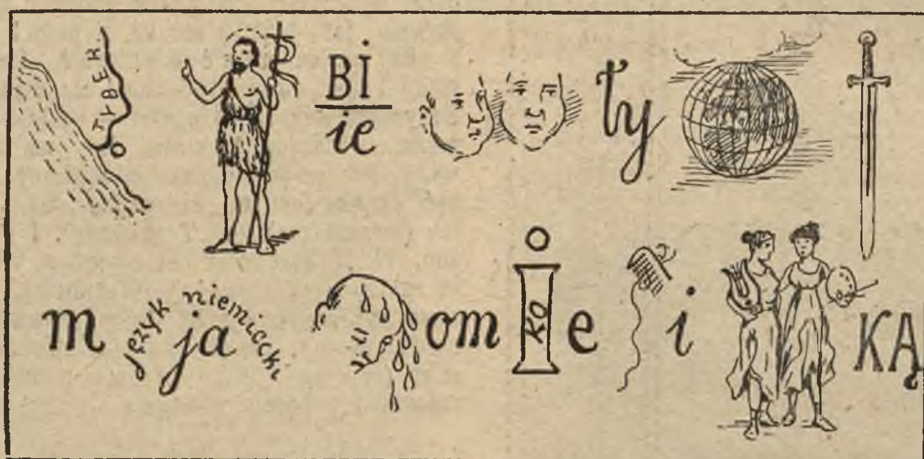
Przysłowiówka.

Ułożyła M. Stolarska, Podgórze.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie spółgłoski a otrzymamy przysłowie, mające związek z obecną porą:

— a — ie — — ia — — o — a — ie, — a — ie — — a — — — y — — — — — a — ie.

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Bolesław Dan: „Pieśń nad pieśniami"; 2) Kalendarz ścienny na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Grzebieniówka: Śrem, w, imam, ę, toga, y, jota, ó, zebu, e, foka.

Kwadrat magiczny: Rota, Omar, tank, arka.

Logogryf: Z, Bug, Kaźń, esparto, Latynowie, Zygmunt Waza, Zagłoba Helena, Zuzanna Morawska, A. Krechowiecki, Michorowski, wulkanizm, trawnik, lasso, rki, a.

Dobre rozwiązania nadesłali p. p.: H. Wójcik Kraków, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, W. Śmiszkiewicz Milówka, W. Komperdowa Lwów, H. Malinowski Warszawa, S. Sadowska Kielce, J. Walczewska Lwów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, W. Nowotarska Jarosław, J. Cercha Miechów, W. Ostrowski Płock, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, W. Krzemień Wilno, S. Dąbrowski Grudziądz, J. Cholewiński Tarnopol Z. Koniecpolski Łódź, M. Morawski Kraków, Bol. Więckowski Stanisławów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Wójcik Kraków (książka); 2) S. Sadowska Kielce (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.





Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego